rok 1 Warszawa, dnia 15 kwietnia 1932 r. nr. 2

Z zet

sztuka kultura sprawy społeczne

cena 50 gr. dwutygodnik

POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

„Marsz w próżnię“

Mówi się dziś wiele w Polsce o t. zw. „marszu w próżnię“. Ten niepokojący symbol obecnego stanu rzeczy i szerzących się dziś w społeczeństwie nastrojów, zrodził się wśród młodzieży, związanej ideologicznie z panującym systemem politycznym. I to właśnie stanowi rys charakterystyczny, który należy podkreślić grubą linją.

Młodzież dzisiejsza, kształtująca swój światopogląd w warunkach zupełnie odmiennych niż te, które dominowały w okresie dojrzewania dzisiejszych rządców Polski niepodległej, młodzież, o której mózgi i serca uderza wysoka fala nowych, arcytrudnych problemów, młodzież wychowana w duchu ideałów państwowych, świadoma powagi stojących przed nią zadań — fermentuje, niepokoi się, widzi przed sobą próżnię.

Dlaczego?

„Młody las“, młode pokolenie, które wychodzi na arenę życia z niezużytym potencjałem energji, które intresuje się — siłą rzeczy—nie tem, co zostało zrobione, lecz tem, co jutro zrobić należy — chce mieć przed oczyma jakiś nowy cel, nowy plan działania, pręży się do nowego, gigantycznego wysiłku. Wysiłek ten, aby zaspokoił i przykuł do siebie falującą olbrzymiość dażeń, tęsknot i ambicyj młodego pokolenia, musi być conajmniej równie trudny i pobudzający ideowo, jak walka o odzyskanie niepodległości politycznej, pośród stokrotnej przemocy trzech potęg zaborczych. Takiego celu, zdolnego zapłodnić nowy „Sturm und Drang Periode“ młodzież nie widzi dziś przed sobą. Dlatego dzień jutrzejszy otwiera się przed nią niepokojąco, jak smutna, mglista próżnia.

A przecież młodzież ta ma w sobie dość sił i rozpędu do stworzenia w Polsce wielkiego, przełomowego ruchu ideowego.

Niepodległość została zdobyta. Wyszarpali ją, wygryźli zębami i scementowali własną krwią — inni ludzie. Ci, którzy dziś prowadzą szarą, codzienną pracę organizacyjną w murach ministerjów, biur państwowych i samorządowych, w ramach niezliczonych instytucyj i związków społecznych. Ci, dorośli, niekiedy już przyprószeni siwizną ludzie, nietylko zdobyli się na olbrzymi wysiłek zbrojny, lecz także ugruntowali odzyskaną suwerenność, ustalając nowy porządek prawno - polityczny, rozbudowując sprawnie cały aparat państwowy, czuwając wreszcie nad sprężystością i odpornością gospodarczą młodego organizmu. Ale ludzie ci, tkwią oczywiście swojemi systemami pojęć, swojemi metodami myślowemi i wspomnieniami — w epoce wczorajszej, w umiłowanej wizji dokonań swego bujnego, młodzieńczego perjodu. Przedstawiciele tego budzącego szacunek pokolenia przyznają się sami, że nie mogą już zrozumieć i przyswoić sobie ducha epoki, która rodzi się wśród kruszenia się form dotychczasowych, wśród alarmu prawd nowych, wśród rosnącego wciąż chaosu gospodarczego, politycznego i umysłowego. I nietylko przyznają się do tej słabości i dezorjentacji ideowej. W swej lojalności wobec jutra, posuwają się oni tak daleko, że widząc grozę i patos dokonywujących się przemian, akcentują mocno konieczność nowych rozstrzygnięć we wszystkich dziedzinach życia społecznego i szukają jakiegoś panaceum, jakiejś nowej, ratowniczej koncepcji historycznej.

Szuka jej zresztą cały świat wśród strasznych wstrząsów i konwulsyj, zagrożony na całym niezmiernym froncie swoich procesów życiowych. Szuka jej na ansamblach Ligi Narodów, na konferencjach międzynarodowych, na kongresach przeróżnych Lig Intellektualistów, organizacyj ekonomicznych, związków pacyfistycznych i t. p. Niestety czyni to zbyt panicznie i zbyt powierzchownie, nie usiłując wniknąć w głęboki, historjozoficzny sens tego, co się dziś dzieje na całej przestrzeni świata cywilizowanego, nie umiejąc się zdobyć na akt syntezy, na spokojny rachunek sumienia pod kontrolą czystego rozumu. Ogromna budowla wczorajszej ery zapada się, idzie na dno bezradnie i bezrozumnie tonąc w morzu powszechnego zamroczenia i rozprzężenia umysłów. W zamęcie budzącym politowanie i wzgardę rozlega się tylko nędzne, małoduszne hasło: „Ratuj się kto może!“.

W tej perspektywie, w cieniu zmierzchającej ery dziejowej, przyszłość zaledwie wyrwanej z grobu Polski rysuje się mgliście i niepokojąco. Promiennych i zmartwychwstałych zarzucają nas zewsząd płachtami kiru, jaki powleka dziś cały europejski kontynent. Czyż można się dziwić, że młodzież pozbawiona wielkich bodźców działania, daremnie wołająca o cel, ideję i hasło, zaczyna szeptać sobie do ucha trwożliwe wieści o „marszu w próżnię“? Czyż można się dziwić, że pesymizm przenika nawet w jej szeregi, że Polska zdaje się jej być wciągniętą w ten tragiczny, choć powolny proces pogrążania się ludzkości współczesnej w grzęzawisko?

Powierzchowna obserwacja nastrojów psychicznych społeczeństwa polskiego, jałowości i tchórzliwego bezwładu naszej elity intellektualnej, zaściankowości i bezideowości literatury, mroków umysłowych, zalegających Parnas poskamandrowy — pogłębić może jeszcze ten stan depresji, doprowadzić młodych do przeświadczenia, że po odzyskaniu niepodległości politycznej nie da się już w Polsce więcej nic zrobić.

Otóż pesymizm taki — choć twórczy, bo pobudzający do żarliwych poszukiwań — nie jest uzasadniony. Bo oto odrętwiały duch dziejów Polski, obezwładniony niewolą, budzi się już i daje znać o sobie. Oto prze on już na warstwy intellektualne narodu i rozsadza skorupy leniwego marazmu naporem energji twórczej, nagromadzonej w koncepcjach, dziełach i systemach myślowych filozofów i poetów polskich XIX-go stulecia. Naród odżywa, jak Gigant, który się dotknął matki-ziemi i zaczerpnął jej soków, wstrząsających elektrycznym prądem. Niezrealizowane, przedwczesne ideje, stanowiące organiczną treść naszej psychiki i naszej historji narodowej, wołają o kształt, o wcielenie. Światło z pod korca zaczyna promieniować tak silnie, że blask jego przebija się zwycięsko przez gęstą zasłonę głupstwa, obojętności i złej woli.

W tem mocnem, ożywczem świetle rzeczywistość dziejowa Polski współczesnej zaczyna się nam modelować i uwypuklać bardzo plastycznie. Przyszedł czas na śmiałą ocenę sytuacji, na obliczenie szans, na wyciągnięcie ostatecznych wniosków. Trzeba sporządzić dokładną mapę orjentacyjną i wbić szpilkę w punkt, wokół którego układać się pocznie ordre de bataille wielkiej, historycznej rozgrywki.

Stoimy oto na wysokim punkcie obserwacyjnym, pomiędzy Zachodem i Wschodem, na wyniosłym bastjonie Europy. Z jednej strony idzie na nas walec rozprzężenia i dezorganizacji całego systemu polityczno-gospodarczego zachodniej cywilizacji, z drugiej równie miażdżący walec potwornego błędu dziejowego, który jak upiór wysysa resztki żywej krwi z olbrzymiego, bujnego organizmu rosyjskiej Eur-azji.

W tej sytuacji nie czas już na samo tylko łatanie i naprawianie poszczególnych odcinków życia gospodarczego, na walkę programów partyjnych, na spory wewnętrzno-ustrojowe. Dziś Polska musi się zdobyć na maksimum napięcia wszystkich swoich sił twórczych, na jasne określenie stanowiska wobec naczelnych problemów współczesności, na przeciwstawienie dwu groźnym walcom z Zachodu i Wschodu, nowej koncepcji dziejowej, nowej, potężnej ideji. Wielki, europejski kontynent, na którym krzyżują się i rozstrzygają wszystkie zagadnienia ogólno-ludzkie, jest dziś jak mgławica, która przewala się i kotłuje bezwładnie w poszukiwaniu ośrodka krążenia. Polska jest tym potencjalnym ośrodkiem Europy, narazie tylko mechanicznie i geograficznie. Ale tradycja historyczna i promieniowanie idej rdzennie właściwych genjuszowi polskiemu, mogą ją uczynić również duchowym centrum kontynentu — w tej epoce jutrzejszej, w której duch, czyli rozum samorzutny będzie organizował i przekształcał ślepe mechanizmy materjalnego bytu.

Trzeba pamiętać o tem, że idzie dziś wielka gra o „być albo nie być“ kultury nowożytnej, wyrosłej na podłożu chrześcijańskiego poglądu na świat, o nowy kształt człowieka i ludzkości, o wyzwolenie społeczności, istot rozumnych z chaosu umysłowego, nędzy materjalnej i „kredowego koła“ tragicznych sprzeczności. Idzie gra o dobro powszechne o nowy ład moralny świata. Grają w niej „va banque“ ideje, narody, klasy społeczne. W tej grze tylko największa stawka, najgłębsza ideja, najwyższa filozofja społeczna ma szanse zwycięstwa. Oby nasze kunktatorstwo historyczne, nasze naśladownictwo obcych wzorów, nie pozbawiło nas szansy, którą mamy w postaci położenia geograficznego, sprzyjających konjunktur chwili, przedewszystkiem zaś w postaci najświetniejszej koncepcji historjozoficznej, jaką stworzyła myśl ludzka (Prawo Postępu — Hoene-Wrońskiego).

Ale, aby nie zaprzepaścić tej szansy, trzeba podjąć wysiłek na miarę dotychczas nienotowaną w naszych dziejach. Trzeba dokonać syntezy wszystkich naszych możliwości i zasobów twórczych, opracować je, usprawnić przez mądrą dyscyplinę zastosować do warunków praktycznych. Do pracy tej zaprząc trzeba i powołać całą polską elitę intellektualną.

Jak Fatum dziejowe ściga nas *mus wielkości*. Polska albo będzie wielką, albo rozsypie się w nicość. Nie idzie tu jednak ani o wielkość militarną, ani o wielkość ekonomiczną. Te dwa ideały przeżyły się już — są to fetysze dnia wczorajszego (wykażemy to i rozwiniemy obszernie w 3-cim numerze „Zetu“). Ideał dzisiejszy, a raczej jutrzejszy — to wielkość ludzka, pełne i twórcze człowieczeństwo, Człowiek Doskonały, zarówno w znaczeniu indywidualnem, jak powszechnem. W tym nowym postulacie historycznym, jaki winniśmy sobie uświadomić, zbiegają się w jeden węzeł dwa wielkie problemy: 1) dźwignięcie na wyższy szczebel duchowy *jednostki* i 2) dźwignięcie na wyższy szczebel duchowy całej *ludzkości*. W ten sposób obydwa te problematy kojarzą się w jeden: Jak zbudować nowy ład moralny, w którymby tak indywidualizm, jak uniwersalizm znalazł pełny swój wyraz.

Dziś, gdy anarchizm walczy o wolny rozwój jednostki, a kolektywizm o doskonałą organizację powszechności, należy stworzyć warunki, zaspokajające obydwa te dążenia. Oto koncepcja ładu, którego ziarno tkwi w starej polskiej tradycji historycznej, a którego schemat moralno-prawny opracowała całkowicie w XIX-tym wieku polska myśl filozoficzna. Ale ład taki może powstać tylko na autorytecie prawdy, na fundamencie czystego rozumu.

Oto nasz cel, nasz program, nasza rdzennie polska ideja. Oto nasza wielkość i misja dziejowa, bez której będziemy niczem.

Legenda o „marszu w próżnię“ musi być rozproszona. Trzeba wytyczyć kierunek pochodu, młodzież nasza musi otrzymać marszrutę. Ostatnie lata państwowości polskiej przygotowały grunt pod taki ruch historjozoficzny. Wyznaczyły one punkt wyjścia nowej transzy sił twórczych, transzy zbrojnej w wysokie kryterja rozumu, w męską odwagę czynu i busolę orjentacyjną tradycji historycznej.

Trzeba rzucić narodowi i światu wielką ideję, wielki cel, wielką prawdę. Bez wielkiej ideji Polska zginie. W rynsztunku wielkiej ideji wyrośnie na olbrzyma, na wodza duchowego znękanej klęskami powojennej Europy.

Z wystawy „Rytu“ w Instytucie Propagandy sztuki

O! Panie, który kazałeś szumowi morskiemu — i szelestowi wietrznych pól bladym kwiatkiem okrytych, aby mię uczyły słów tej księgi... a wiedzę na dnie ducha mego uśpioną budziły. — Spraw aby te słowa westchnieniem pisane, przeszły jak wiatr i szum morski; a przechodząc i mijając niektóre wielkie duchowe moce, w ojczyźnie mojej uśpione, z nieświadomości własnej, na światło wiedzy własnej wywiodły... Aby z tej Alfy... i z Chrystusa i ze Słowa twego wyprowadzon był świat



cały — aby Mądrość jasną miłością Bożą w duchach stworzona, rozwidnieniem dla każdej nauki stanęła. O to proszę... Boże i Panie mój! o widzącą wiarę, a zarazem o uczucie nieśmiertelności z wiary widzącej w duchach zrodzone...

Albowiem na tych słowach, iż wszystko przez Ducha i dla ducha stworzone jest a nic dla cielesnego celu nie istnieje... stanie ugruntowana przyszła wiedza święta Narodu mojego...

Juljusz Słowacki „Genesis z Ducha“

Stanisław Ostoja Chrostowski KAPLICZKA

Czterdzieści cztery

WIDZENIE WIESZCZA.

Setna rocznica powstania „Dziadów“ drezdeńskich zwraca naszą myśl raz jeszcze ku spiżowej, nie odbronzowanej, mimo wysiłków Boy'a postaci poety i każe nam, po tylu uczonych analizach i rozbiorach sięgnąć po syntezę jego ducha i dzieła. Pracę tę winni podjąć badacze Polski odrodzonej, wybrawszy i ustaliwszy wprzód ośrodek całego systemu jego twórczych dokonań, przełomów duchowych i dążeń. Wydaje mi się — a nie jestem odosobniony w tym względzie — że tym płomiennym ośrodkiem, wysyłającym fale promienistej energji, tem słońcem, wokół którego krążą planety czynów i utworów poety — jest widzenie księdza Piotra, a raczej widzenie samego Mickiewicza (jak to zaznacza już prof. Kleiner w książce „Proroctwo księdza Piotra“), które on sam uważał przez całe życie za doznane objawienie Boże.

Tej koncepcji historjozoficzno-religijnej, jaka wypełnia swoją treścią formę widzenia ks. Piotra, koncepcji zrodzonej w momencie olbrzymiego natężenia uczuciowego, w akcie ekstazy twórczej, nieomal bezwiednie — był Mickiewicz wierny aż do końca. Cała jego działalność, jakkolwiek chaotyczna i pozbawiona punktu oparcia w jakimś mocnym, sprecyzowanym systemie pojęć, gruntowała się na tej bazie. Tu znajduje się klucz mickiewiczowskiego stosunku do rzeczywistości, klucz otwierający nam wrota do tajnej komory jego najintymniejszych przeżyć duchowych. Koncepcja ta wynikała tak dalece z najgłębszych pokładów jego jaźni, że stała się dlań nietylko objawieniem, symbolem i bodźcem posłannictwa osobistego, ale i programem polityczno-socjalno-religijnym zarówno jego samego, jak Polski (nie zapominajmy bowiem, że Mickiewicz-Konrad utożsamiał siebie z Polską).

Mimo nieszczęsnego zaplątania się w ciemny mistycyzm Towiańskiego, nie opuścił Mickiewicz tego szańca, bronił go i rozszerzał w wykładach paryskich, przypieczętował „Legjonem“. Przypisując zaś koncepcji swojej historyczne i decydujące znaczenie, uważał się przez długie lata za jej realizatora in spe, co udowadnia niezbicie Stanisław Kolbuszewski w swej doskonałej rozprawie p. t. „Ziemski Mesjasz Narodów“ (Poznań 1930), stanowczo za mało znanej i komentowanej.

Tenże Kolbuszewski pisze (str. 36):

„Skoro zaś tę pewność, że on będzie Ziemskim Mesjaszem Narodów zawiodła rzeczywistość życia, skoro zawiodła wiara w Towiańskiego, liczby stały się zagadką. Kto będzie wieszczonym Mężem, nie wiedział. Pozostała jednak wiara w realność objawienia i pozostała pewność, że musi nadejść czas, może nierychło, ale z pewnością, i słowo stanie się ciałem i zjawi się Mąż, który zrealizuje program-proroctwo, tajemniczy, nieznany Człowiek-Synteza, Ziemski Mesjasz Narodu polskiego i wszystkich narodów świata“.

Jeżeli tedy wizja ks. Piotra, a zwłaszcza jej część 2-ga miała tak niezmierną wagę dla jej autora, jeżeli z jądrem jej związało się i zrosło wszystkiemi fibrami jego życie — to warto chyba z okazji setnej rocznicy „Dziadów“ drezdeńskich omówić ją raz jeszcze i rozważyć, czy ma ona związek tylko z osobistemi perypetjami psychicznemi poety, stanowiąc tem samem obojętny skądinąd, neutralny objekt badań — czy też może styka się ona w jakiś sposób z rzeczywistością objektywną i ma znaczenie dla dziejów narodu polskiego i dla ludzkości. Gdyby zamajaczył, w trakcie tych rozważań, choćby cień podobnej możliwości, byłby to niewątpliwie hołd najmilszy duchowi poety, który szkolarskie igranie z najświętszym płodem swego uniesienia twórczego uważałby z pewnością za bluźnierczą zniewagę.

O NOWĄ METODĘ KRYTYCZNĄ.

Dotychczasowa metoda badań pomników i arcydzieł literatury, metoda, którą nazwałbym porównawczo-psychologiczno-dokumentarną, daje niejednokrotnie ciekawe wyniki (jak to ma miejsce np. w pracy Kolbuszewskiego) i dlatego nie wolno jej negować. Jednakowoż wyniki te mają zawsze charakter „neutralny“, zaspakajający może ciekawość fachowców i erudytów, ale dla dziejów ducha ludzkiego nieistotny. Stwierdza się na podstawie mniej lub więcej prawdopodobnych hipotez, dokumentów i analogij „wpływologicznych“, że Adam Mickiewicz myślał w danym momencie, to a to, że był pod wpływem tego, a tego poety, czy filozofa, że czerpał stąd a stąd obrazy, metafory i symbole. Punctum—pauza. Zamykamy książkę i przestajemy się zajmować tym tematem. Stwierdzenia nasze mają wagę dla suchej rejestracji naukowej, ale nie dla nas samych, nie dla życia jednostek i społeczeństw, nie dla historji. A przecież dzieło sztuki, zwłaszcza o tak szczególnej strukturze wewnętrznej i o takich historjozoficznych aspiracjach, jak to o którem mowa — nie może być tak brutalnie, chirurgicznie zoperowane i odrzucone, jak odcięta ręka lub noga, pomiędzy odpadki dnia wczorajszego, gdy cała jego postać wskazuje na głębszy związek z twórczą, prometejską pracą ducha ludzkiego.

Utarło się wśród kół inteligencji nazywanie filozofji dyscypliną „oderwaną“. Otóż ja — wprost przeciwnie — pozwolę sobie nazwać „oderwanem“ właśnie tego rodzaju dokumentarne podejście do fenomenów i problemów estetycznych. Tak, oderwane. Bo rezultatem i owocem jego są stosy poszufladkowanych, a jednak bezładnych wiadomości i faktów, zupełnie oderwanych od nurtu powszechności, od całokształtu zjawisk.

Wobec niedostateczności tej pożytecznej tylko jako gromadzenie materjału metody, powstaje konieczność nowego podejścia, nowych kryterjów, a wreszcie nowej metody krytycznej, którąby bazę swoją znalazła w filozoficznym stosunku do rzeczywistości, w rozumowych założeniach a priori, w określeniu elementów samego aktu twórczego, jako właściwego przedmiotu estetyki, i krytyki. Taka nowa metoda, analityczno - syntetyczna, którąby w twórczy sposób podeszła ku źródłom metafizycznym twórczości artystycznej, winnaby podjąć rewizję dotychczasowych rezultatów badań, wykazując — choćby na konkretnym przykładzie naszych wieszczów, pozornie wyciśniętych już jak cytryny i poklasyfikowanych przez profesorów — że w dziełach zgruntowanych już i przenicowanych, znajdują się całe pokłady wartości, niedostrzeżonych wcale i niewydobytych na wierzch.

Ta nowa, filozoficzna metoda krytyczna konieczna jest zwłaszcza w odniesieniu do tak wysokich i zagadkowych fenomenów estetycznych, jak widzenie ks. Piotra w „Dziadach“. Twór poetycki tego typu jest bowiem samorzutną konstrukcją elementów, osadzonych w rdzeniu psychiki, a raczej osobowości autora, w punkcie przecięcia się indywidualności z powszechnością, tam gdzie subjektywna wizja świata graniczy z objektywną rzeczywistością dziejową. Jest to spontaniczny wybuch impulsów i dążeń, tkwiących w świadomości narodu i epoki historycznej, tego środowiska, którego dany poeta jest zarazem medjum i współtwórcą.

JEDYNIE MOŻLIWA BAZA KRYTYKI.

Fenomeny estetyczne są zjawiskami tak wysokiej i tak trudnej do określenia natury, że dotąd jeszcze przeciętny badacz i krytyk nie posiada w tym zakresie żadnych kryterjów, żadnego uporządkowanego systemu pojęć. Filozofja estetyki jest dopiero in statu nascendi i naprawdę tylko Kant i Hoene - Wroński mieli w tej dziedzinie coś istotnego do powiedzenia (ze współczesnych zasługuje na uwagę, koncepcja Benedetta Croce i S. I. Witkiewicza, z myślicieli XIX-go wieku Schleiermacher i Hegel, o Tainie czy Sorelu nie warto nawet mówić). O ile idea Prawdy, ta najwyższa zasada filozofji i ideja Dobra, najwyższa zasada religji, krystalizuje się w historji myśli ludzkiej dość wcześnie — o tyle ideja Piękna, najwyższa zasada sztuki, wymyka się najbardziej abstrakcyjnym sformułowaniom i uchodzi za niemożliwą do zdefinjowania. Właściwą drogę ku niej wytyczył Kant, w swojej „Kritik der Urteilskraft“, wiążąc pojęcie piękna ze zjawem celowości i harmonji w funkcjach wszechświata, ujrzanym przez pryzmat naszego własnego Ja. Hoene-Wroński precyzuje to dokładniej: To co nazewnątrz nas, objektywnie, tj. w otaczającym nas świecie przejawia się jako Ład, to działa w nas samych, w naszej świadomości subjektywnej jako Wzniosłość i Piękno.

Samorzutna konstrukcyjność, harmonijna i celowa kompozycja elementów znajduje się u podstawy fenomenu estetycznego. Tu właśnie jest to źródło metafizyczne czynności twórczej w sztuce, o którem była mowa powyżej. Ale jest to zagadnienie tak rozległe, że nie sposób rozwinąć je w jednym artykule i to o treści specjalnej. Problemem nowoczesnej filozofji estetyki, jako dyscypliny naukowej zajmie się redakcja „Zet“ obszernie, poświęcając mu jeden z najbliższych numerów pisma. Na tem miejscu zaznaczam tylko konieczność poszukiwania absolutnych, ugruntowanych rozumowo kryterjów w tej dziedzinie i podkreślam raz jeszcze, że prawdziwa nowoczesna metoda krytyki literackiej i artystycznej nie może się obejść bez filozofji estetyki *).

ESTETYKA TRANSCENDENTALNA DZIEJÓW.

Zajęte przezemnie w powyższym ustępie stanowisko jest naturalną konsekwencją negatywnej oceny t. zw. dokumentarnej metody badań krytyczno — i historyczno literackich. Jeżeli oświadczam się przeciw rozstrzyganiu zagadek w rodzaju wizji ks. Piotra zapomocą wpływologji i zestawień porównawczych — to muszę wskazać inną, pewniejszą bazę. Jest nią właśnie filozoficzna krytyka samej czynności estetycznej i związku jej z istotą rzeczywistości zarówno indywidualnej, jak powszechnej. Tylko ona może nam powiedzieć, jak powstają takie fenomeny poetyckie, jak proroctwo Mickiewicza, oraz jakie procesy psychiczne są ich źródłem. Ona też może rozstrzygnie problemat już nie formalny, lecz historjozoficzny: Czy koncepcje powstałe w tak wysokiem napięciu twórczem są tylko fantastyczną fikcją, czy też dają jakąś gwarancję prawdopodobieństwa historycznego. Poprostu mówiąc: Czy mamy brać serjo proroctwa poetów, czy też traktować je jako oderwane od rzeczywistości wybryki wyobraźni?

Ten ostatni problemat przenosi nas już w dziedzinę estetyki transcendentalnej. Zarysowuje się on w następujący sposób:

Jeżeli wszechświat zbudowany jest prawidłowo i celowo tj. żyje i rozwija się podług jakiegoś Prawa powszechnego — to stanowi on żywą, organiczną całość i wszystkie rozgałęzienia i hierarchje jego zjawisk uzupełniają się wzajemnie, wyrastając ze wspólnego korzenia.

Otóż całość taka, takie harmonijne uniwersum, już przez samą swoją celowość posiada znamiona samorzutności konstrukcyjnej, własnej kompozycji elementów, czyli (prononcons le mot)... Piękna absolutnego. Postulat Piękna, Ładu i Wzniosłości tkwiłby tedy w samem sercu niejako i w samem unerwieniu tej olbrzymiej architektoniki kosmicznej, dając Dziełu Bożemu rys bardzo bliski duszom i czynnościom poetów. Nie byłoby wtedy zbyt śmiałem przypuszczenie, że prawdziwy, tajemniczy rytm rzeczywistości, zgodny z jej Boskim planem, dociera najłatwiej i najbezpośredniej do świadomości twórców-poetów, którzy są jak kamertony przytknięte do kosmicznego instrumentu. Hipotezę tę rozwinę kiedyindziej, popierając ją ściślejszemi wywodami naukowemi — znowuż podkreślając narazie, że jest ona niezmiernie ważną dla zagadnienia, czy mamy brać serjo wizje poetów w rodzaju proroczej koncepcji historjozoficznej Mickiewicza.

Świat oglądany przez pryzmat filozofji modeluje się nieco inaczej, niż oglądany przez pryzmat religji. Filozofja (przynajmniej dotychczasowa) określa świat, jakim jest, religja chce go mieć takim, jakim być powinien. Dlatego filozofja posiada charakter bardziej spekulatywny, a religja bardziej praktyczny. Odmiennie od tych dwu aspektów rzeczywistości — sztuka ma nam dać ogląd świata harmonizujący obydwa powyższe punkty widzenia. Wielki poeta musi mieć w sobie coś z filozofa i coś z proroka, musi się w nim przecinać zarówno statyka, jak dynamika świata. Chce on rzeczywistość nietylko opiewać, ale i przetwarzać. Ten pęd moralno-reformatorski wiąże genjalnych twórców ściśle z życiem ich środowisk społecznych, z historją i dążeniami całej ludzkości. Spróbujmy wycechować bliżej charakter tego związku.

Jeżeli — jak to rzekłem wyżej — wszechświat zbudowany jest według jakiegoś prawa powszechnego, to architektonika i prawidłowość jego ujawni się zarówno w przestrzeni, jak w czasie. Ład architektoniczny kosmosu w przestrzeni znają doskonale i opisują nauki takie, jak astronomja, fizyka, chemja itd. Natomiast podobny Ład w czasie tj. w historycznym rozwoju ludzkości jest o wiele trudniejszy do uchwycenia i opisania, już choćby z tego względu, że wchodzi tu w rachubę przy napozór zupełnie nieobliczalna. Jednakowoż sama logika wymaga istnienia podobnego ładu w czasie, co i w przestrzeni. O wykrycie jego kusiły się już dwa wielkie systemy filozoficzne (Hegel i Wroński). Idzie o to, czy mgliste zarysy tego ładu nie objawiają się poetom?

Pojęcie ładu i celowości kojarzy się z ideją Piękna (jeżeli zgodzimy się z Kantem). Estetyka transcendentalna historji ma w sobie niewątpliwie takie natężenie piękna i taki patos wzniosłości, że ogrom ich wykracza poza miniaturowy zasięg przeciętnego postrzegania. Jeżeli świat i dzieje ludzkości wydają się nam szare i pospolite, to jest to winą naszych oczu i naszych mózgów. Poprostu przykrawamy jego obraz na miarę naszych potrzeb, naszych duszyczek. Ale wielcy poeci i prorocy przeczuwają monumentalny zarys dzieła Bożego. Dlatego to rzeczywistość historyczna krzyżuje nieraz zawiłe kombinacje polityków, ekonomistów i socjologów — rozwijając się na marginesie ich planów, a podług przewidywań poetów.

PROROCY A POECI.

Świadomie i celowo zestawiłem powyżej poetów i proroków. Nowoczesna filozofja estetyki nie może pozostać ślepą na zadziwiające podobieństwo (przynajmniej formalne) wizji poetyckiej i objawień proroczych. Symbolika i metaforyka proroctw i objawień świadczy o typowo estetycznym procesie przetwarzania treści umysłowej na symbole i obrazy. Ujawnia się tu znowu ta samorzutna konstrukcyjność, ucieleśniająca ideje przez nadawanie im zmysłowego kształtu. Zwróćmy uwagę na charakter przedstawień i środków wypowiedzi używanych w takiej np. Apokalipsie. Ideje społeczne jako jeźdźcy, narody jako Anioły, rozum jako mężczyzna, który „rządzić będzie wszystkie narody laską żelazną“, siedm epok historycznych jako siedem świeczników, ludzkość jako morze, prawo Boże jako góra Syońska. Chrystusowy ład moralny na ziemi jako miasto Jeruzalem o murach z drogich kamieni i bramach z pereł. Nawet Chrystus w wykładzie swej iście nadludzkiej filozofji religijnej posługuje się figurami, przenośniami, przypowieścią i alegorją (nie mówię już o genjalnej rytmice i prozodji objawień i proroctw).

Pokrewieństwo duchowe proroków i poetów świadczy, że obie te kategorje ludzi z jednakową wrażliwością reagują na Piękno i Wzniosłość historji, na estetykę transcendentalną rzeczywistości. Znaczy to też, że osobowości tego typu noszą w sobie jakąś wspólną, uniwersalną wizję ludzkości i jej dziejów, mieszczą się w tym punkcie skrzyżowania indywidualności z powszechnością, gdzie znika czas i przestrzeń, a pozostają tylko prawa i ideje, rządzące rozwojem świata i wcielające się w życie z nieodpartą koniecznością.

„NAPIĘCIA KIERUNKOWE“ NARODÓW.

Ale jeżeli ludzie ci mają wszczepione przez samą już swoją strukturę duchową wewnętrzne poczucie logiki i prawidłowości dziejów — to niewątpliwie ogniskują oni w sobie zbiorowe dążenia mas ludzkich i wyrażają najbezpośredniej kierunki pochodu dziejowego epok, ras i narodów. Noszą w sobie jakby „napięcia kierunkowe“ ludzkości, a zwłaszcza pewnych środowisk, wśród których los kazał im urodzić się i działać. Zachodzi pytanie, czy poszczególne narody stanowią jakieś całości logiczne i historyczne, czy mają one jakieś misje dziejowe do wypełnienia? Jeżeli tak, to czy uświadamiają sobie, tę własną, swoistą postawę wobec rzeczywistości? Może to właśnie prorocy i poeci są bodźcem i narzędziem takiego uświadomienia.

Widzimy, że dziedzina wchodząca w zakres filozofji sztuki i filozofji religji graniczy tu wyraźnie z problematem filozofji historji. Problemat ten krystalizuje się następująco: Gdybyśmy — za pośrednictwem mitów, objawień religijnych, wizyj poetyckich i koncepcyj myślowych danego narodu — wykryli oś krystalizacyjną jego i linję dążeń (jego „napięcie kierunkowe“), gdybyśmy porównali je z osiami i linjami innych ludów, moglibyśmy ustalić coś w rodzaju architektoniki historjozoficznej, przyczem wypadkowa tych wszystkich napięć byłaby prawdziwym kierunkiem rozwojowym całej ludzkości. Oczywiście tylko kierunkiem (należy to zastrzec), niczem więcej.

Byłoby to prawdopodobnem, gdyby doświadczenie pokazało nam, że istotnie różnorodne mity, objawienia i poezje danego narodu wypływają z jednej zasady i zmierzają do jednego celu. Otóż wydaje mi się, że historja daje nam na to wiele przykładów: najoczywistszemi są: „napięcie kierunkowe“ żydów w starożytności i „napięcie kierunkowe“ Polaków w epoce nowożytnej.

Wspólna ideologja, wspólne oczekiwanie Mesjasza i wspólna koncepcja dziejowa (społeczno-religijna) proroków-poetów (jak Dawid) żydowskich nie potrzebuje omówienia i udowodnienia. Czy podobną wspólnotę możemy wykryć u poetów-proroków polskich? Czy współcześni Mickiewiczowi twórcy zgodni są z nim w przewidzeniu i określaniu przyszłości moralnej świata?

Kto zna dobrze dzieła naszych poetów — a co ważniejsze filozofów — ten da twierdzącą odpowiedź na to pytanie. Ale nie sięgajmy do dzieł filozofów-mesjanistów, gdzie koncepcja nowego ładu moralnego na ziemi usymbolizowanego w postaci Męża w widzeniu ks. Piotra, opracowana jest aż nadto wszechstronnie. Wystarczy przypomnieć sobie Krasińskiego „Przedświt“, niektóre wiersze Norwida, Słowackiego „O potrzebie idei“ lub wiersz o papieżu słowiańskim, by stwierdzić podobieństwo ich postulatów moralnych i wizyj historjozoficznych. Wszyscy oni zapowiadali nadejście nowej ery i nowej prawdy, której realizację podejmie Polska przy pomocy Słowiańszczyzny, erę wcielenia w życie polityczne i społeczne zasad Chrystusowych.

A więc wspólna postawa wobec rzeczywistości — jest. Jednolita koncepcja moralna — jest. Prorocza wizja przyszłości — jest. „Napięcie kierunkowe“ zdaje się nie być fikcją. Wynika z tego, w odniesieniu do konkretnego zagadnienia proroctwa Mickiewicza — że wizja ks. Piotra, rozpatrzona nie z dokumentarnego, lecz filozoficzno - krytycznego punktu widzenia zasługuje na poważne potraktowanie, jako związana silnie z duchem dziejów.

MISJA POLSKI W WIDZENIU.

Analiza treści historjozoficznej koncepcji zawartej w Widzeniu nie należy do zakresu niniejszego artykułu. Dlatego zaznaczam tylko pokrótce, że wszystkie dotychczasowe tłumaczenia tej zagadki wydają mi się niedostateczne. Nawet głęboki i daleko idący rozbiór dokonany przez Stanisława Kolbuszewskiego musi podlec krytyce ze stanowiska nowej metody krytycznej. Przedewszystkiem budzi zastrzeżenia zbyt pochopne odnoszenie wszystkich przedstawień i symbolów, a nawet założeń ideologicznych widzenia do mętnych, mistycznych elukubracyj St. Martina: gdybyśmy się na to zgodzili, należałoby uznać całą koncepcję Mickiewicza za równie bezwartościową, jak jałowe były saint - martinowskie opowieści dla nauki i dla historjozofji.

Bogu dzięki, tak źle nie jest. Proroctwo Mickiewicza jest płodem polskiej wizji świata, wspólnej wszystkim naszym myślicielom i poetom. Pewne metafory i ozdobniki mogą być zaczerpnięte skądinąd, to jednak nie zmienia postaci rzeczy.

Tę polską wizję rzeczywistości dziejowej scharakteryzował sam Kolbuszewski, streszczając program Mickiewicza zawarty w Widzeniu: „Polska swą ideją podbije Europę czy ludzkość, stworzy z niej jedną całość, włączy ją w jeden swój Kościół... i Kościół polski będzie dopełnieniem i dalszym ciągiem Kościoła katolickiego... Do zrealizowania tego planu powoła ona (Polska) Słowiańszczyznę; zjednoczy powtórnie ludy słowiańskie... W ten sposób za sprawą Polski wystąpi na widownię dziejów szczep najmłodszy i zapoczątkuje przez nią nową epokę, służąc jako podstawa pod budowę nowego Kościoła, Kościoła Polski, jednoczącego w sobie ludzkość.. A ten Kościół, tworzący trójcę w jedności: Polska — Słowiańszczyzna — Ludzkość — przetrwa do skończenia czasów...“

„Zapowiedziany w samym niemal początku Widzenia Mąż miał zbudować Kościół jednoczący w imię nowej ideji wszystkie narody. To bowiem, a nie wskrzeszenie narodu stanowiło jego misję. Naród zmartwychwstał, jak Chrystus własną siłą wewnętrzną; w akcie tym Mąż nie odegrał najmniejszej roli. Posłannictwo jego zaczynało się dopiero z chwilą zmartwychwstania narodu“.

Dalej mówi Kolbuszewski o figurze trzech koron:

„Obraz ten podsunąć mogła analogja roli Męża do roli papieża. Jak papież jest namiestnikiem widomym Kościoła katolickiego, a rząd jego.. symbolizuje tjara, tak namiestnik Polski, nowego Kościoła, dopełnienia Kościoła katolickiego, wzniósł się ponad tamtą, papieską władzę; sam bez korony, stanął na tem, co symbolizowało potęgę dawnego Kościoła w dawnych czasach“. (Interesująca analogja do wiersza Słowackiego o papieżu słowiańskim — **przyp. mój.**).

Te ustępy należą do najtrafniejszych w analizie Kolbuszewskiego. Szwankuje natomiast wytłumaczenie „księgi tajemniczej“, „namiestnika wolności“ i pojęcia „lud ludów“. Nierozstrzygnięte pozostaje znaczenie zdań: „nad ludy i nad króle podniesiony“, „mąż ślepy, ale go wiedzie anioł - pacholę“ i „z matki obcej, krew jego dawne bohatery“. Moją własną tezę w tym względzie przedstawię w specjalnej pracy, gdzie i „wpływologja“ będzie nieco inna.

Widzenie ks. Piotra — powtarzam to raz jeszcze — rozpatrzone być może i zdefinjowane z estetycznego i historjozoficznego punktu widzenia tylko przez nową, filozoficzną metodę krytyki literackiej. Jako ośrodek całego życia twórczego Mickiewicza i to zarówno w dziedzinie poezji, jak czynu — zasługuje ono na taki rozbiór ze wszechmiar. Zaś setna rocznica powstania „Dziadów“ drezdeńskich wydaje się być najlepszą okazją do wygłoszenia konkretnej zapowiedzi tego rozbioru.

Jerzy Braun.

*) Nie twierdzę przez to, że krytycy, zwłaszcza zachodnio - europejscy (bo w Polsce metoda dokumentarna panuje wszechwładnie), nie próbowali oprzeć się w swojej pracy na filozofji estetyki, nie poszukiwali filozoficznych kryterjów. Idzie mi o rzecz większą jeszcze: 1) o wykreślenie zasad a priori i definicję Piękna absolutnego, 2) o ściste wyznaczenie praw estetyki transcendentalnej, 3) o wykazanie związku twórczości estetycznej z mocowładnością Absolutu, czyli rzeczywistości samej przez się, 4) o tożsamość ideji Piękna absolutnego z teleologją wszechświata (dążnością Boga i Człowieka ku celom ostatecznym).

Inscenizacja „Dziadów“ we Lwowie

Jedyną instytucją kulturalną w Polsce, która uczciła dotychczas powstanie Trzeciej części „Dziadów“ jest Teatr Wielki we Lwowie. Podczas, gdy cała Polska czci w tym roku stulecie śmierci Goethego, tu objawia się jakieś dziwne zapomnienie najistotniejszych tradycji sztuki narodowej.

Od chwili inscenizacji „Dziadów“ przez Wyspiańskiego zagadnienie najwłaściwszego ich wystawienia było jednym z najbardziej nęcących a jednocześnie trudnych problemów naszej sztuki reżyserskiej, inscenizatorskiej i aktorskiej. Głębia trzech religijności, pogańsko-obyczajowej, chrześcijańskiej i narodowej, przepajająca każdą scenę „Dziadów“, nadludzkie wzniesienie się w walce z Bogiem, improwizacji, przesuwa zagadnienie inscenizacji na płaszczyzny jaknajdalsze od realizmu scenicznego a więc i od koncepcji Wyspiańskiego.

Przedostatnia próba podejścia scenicznego do „Dziadów“ T. Trzcińskiego w Krakowie wprowadziła zdecydowany charakter misterjum podkreślony trójdzielnością akcji scenicznej. Zerwanie z realizmem w tem podejściu objawia się przedewszystkiem w słowie przez oryginalne i konsekwentne wydobycie elementów rytmicznych, zwłaszcza w chórach. Pominął jednak T. Trzciński całkowicie motywy „religji nacjonalizmu naszego“, motywy o charakterze patrjotycznym jakoby dla nas nieaktualne.

Inscenizacja L. Szyllera we Lwowie przez odgrywającą się jakoby pod gołem niebem akcje, tocząca się u stóp krzyży, wkracza swą wizją w zaświaty, z których nigdy nie zstępuje w naszą szarą i spaczoną codzienność. Konsekwentne również podejście do słowa, jak i silny element muzyczny, jako też gest wspaniale synchronizowany, nadały widowisku cechy jednolitego teatralnie arcydzieła. Idealną niemal realizacją postulatów, które należałoby wysunąć w takiem podejściu scenicznem, jest postać Księdza Piotra, odtworzona przez Wiercińskiego i gra Borowskiej w „Widzeniu Ewy“, P. Strachocki w roli Gustawa-Konrada pod względem mimiki, gry gestów i techniki słowa doskonały nie wydobywał w scenie Wielkiej Improwizacji szeregu motywów treściowych.

Jedną z najistotniejszych zasług Szillera jest pieczołowite podejście do wszystkich zasadniczych motywów dzieła i danie każdemu nowej pogłębionej formy scenicznej. Jeżeli przyjmiemy tezę, że każdy wartościowy dramat ma tylko jedną możliwą idealną realizację sceniczną, to przez inscenizację lwowską zbliżyliśmy się olbrzymim krokiem do owej idealnej realizacji „Dziadów“. Element mistyki chrześcijańskiej został wydobyty wspaniale, szereg pierwszorzędnych akcentów wydobytych z motywów pogańskich, wreszcie element narodowy, ujęty bardzo ciekawie, daje nam pierwsze istotne wskaźniki, w jakim kierunku należy go interpretować na scenie i wydobywać w formach teatralnych.

W. J. W

* * *

Nie dziwujcie się więc tak bardzo narodom, które w dobrym bycie tyją, albo gospodarne i rządne są.

Bo jeżeli naród dobrze mający się i dobrze jedzący i pijący ma być najwięcej szanowany, tedy szanujcie między sobą ludzi, którzy są najtuczniejsi i najzdrowsi. Owoż i zwierzęta mają te przymioty: ale na człowieka to nie dosyć.

A jeżeli narody rządne mają być doskonałe, tedy kto lepiej rządzi się, jak pszczoły; ale na człowieka to nie dosyć.

Albowiem cywilizacja, prawdziwie godna człowieka, musi być chrześcijańska.

Adam Mickiewicz,
„Księgi Pielgrzymstwa polskiego“.

WŁADYSŁAW SEBYŁA

Młyny

Sonata nieludzka

Prof. Józefowi Ujejskiemu poświęcam.

* *

O, nocy, daj mi sen i wyzwól mnie od snów,
któremi jawa darzy.
Niech ciemny wiatr, wiejący od samotnych gwiazd,
maskę mi zetrze z twarzy,
niech chłodny mrok okryje moje oczy,
zmętniałe od patrzenia,
a uszom krwi pozostaw szum
podobny
do morskich w muszli fal szumienia.

I zdejmij ucisk z sztywnych rąk i nóg,
z uwiędłej skóry,
i oczyść język mój z gorzkiego kurzu dróg,
wiodących w martwe góry.

O, nocy, wyzwól mnie od złych,
warczących w wietrze skrzydeł,
od młyńskich kół i od krwawiących szprych
i od szatańskich sideł.

A pozwól szumieć płowym morzom zbóż
dymiącym pyłem
i mrocznym wałom przewalać się wzdłuż
piaszczystych łach przez wodorosty zgniłe
i patynować wierzchy fal rudością zorzy
póki błękitna przepaść twa się nie otworzy
nad światem... i nad snem...
nade mną...

* *

Już pierwsza gwiazda, która zastukała w okno,
była szklista i krwawa, jak oko w gorączce,
i prowadziła mnie tym chorym błyskiem
ponad rozległem, ściemniałem pastwiskiem,
skroś fantastycznie zaplątane pnącze,
potem przez las zrudziałych pni sosnowych,
przez senne rowy,
gdzie kamieniami przyduszone mokną
naręcze lnu, podobne w czarnej wodzie
do włosów jakichś okropnych topielic,
w których pająki wodne, larwy i płoszczyce
budują kruche dzwony ze srebrzystych bieli,
a o zachodzie
jednodniowe komary wychylają krzaki
swych wąsów z małych łódek i skrzypcowym chórem
rozpoczynają nocną uwerturę,
brzęcząc nad zgubą dnia i swoją;
i wypełzają z jam ku światłu raki
czarnym, ruchliwym rojem.

A gdy gwiazda stanęła płomienistym słupem
nad stawem, w którym księżyc srebrnym karpiem płynął,
ruszyły za wodami zapomniane młyny ,
odziane w mchów gnijących zieloną skorupę,
i szły, strasząc warkotem kaczki śpiące w trzcinach,
i jakieś ptaki przelękłe w olszynach,
i zdumionego bąka, wodne szczury,
i odbicie zbłąkanej przy miesiącu chmury,
aż poszły wielkie koła po wodzie gładzonej
rozkołysało się do głębi niebo stawu
i siwa mgła ruszyła kręgami do góry
z wody i skoszonego wieczorem potrawu
ku pyskowi księżyca z miedzi rozpalonej
spadającemu wciąż niżej ku trawom.

Powiało chłodnym wiatrem i zbutwiałem drzewem,
zgniłą wodą z zatok i zalewów,
gdzieś zaskrzypiała oś piskliwym śpiewem,
i zahurgotał wóz kołami po korzeniach,
tylko w dalekich kępach nadbrzeżnej wikliny,
okryte zwilgłą płachtą olchowego cienia,
szumiały za wodami zapomniane młyny.

* * *

Młyny szły bezszelestnie, zakopane w mroku,
w szumie skrzydeł aniołów, lecących przez światy,
i sypał się piach gwiezdny z daleka, z wysoka,
na zalane czerwienią łopaty.

Jako liście lecieli aniołowie w wietrze jesiennym,
furkotali błonami skrzydeł nietoperzych,
wypadali chmarami z pustki bezdennej
i na samotnej wieży siadali bezmyślnie,
jarząc oczami sennie i kapryśnie
ku księżycowi, stojącemu w złocie
nad stawem, skąd się lała woda strugą rtęci
poprzez paprocie brodatem korytem
ku kołom, które szły i szły, jak bez pamięci.

A potem wiatr się porwał i wzmógł się kołowrót
i w krwawej zorzy rannej młyny mgłą okryte
szły przesypując gwiazdy, słońca i mgławice
coraz szybciej, zgrzytliwiej, targane przez skrzydła
szatanów, kołujących w rozpalonym wirze,
aż wiatr je uniósł w niedościgłe wyże
i rozsypały się kurzem srebrzystym po niebie.

Zbudziłem się — noc była — i na ciemnej szybie
zagubiona w przestrzeni Wielka Niedźwiedzica
lśniła siedmiu kroplami srebra.

* * *

Nad tym kołem krążyli smutni aniołowie
z krzykiem, który się nigdzie nie rozlegał,
tylko dreszcz kości trzeszczących w obiegu
kołatał mi po głowie.

Szumiał młyn i rozpięte w rusztowaniach ciała,
sztywne od pędu, lśniły bronzem skóry
w głębi piętrzył się las, podobny do stężałej chmury,
i gdzieś tam woda śpiewała.

Aniołowie, skrzydłami powszczepiani w szprychy,
bili szybko powietrze przygasłym płomieniem,
odblask ognia szedł między drzew stojących cienie
i po pniach pełgał cichy.

Kołowały szatańskie koła w pustce sowiej
ciałami, które wrosły męką w drzewo śliskie
Milczący las stał chmurą ponad uroczyskiem.
Bezszelestnie krążyli aniołowie.

* * *

A trzecie koło stare było i zmurszałe prawie,
oślizgły mech je obrósł i wisiał jak szmaty
wzdłuż piasty zardzewiałą okutej obręczą
obok sterczały rzędem wierzb spróchniałych gnaty
i drobne białe kwiaty pstrzyły się w murawie,
a woda gnała nad niem siedmiobarwną tęczą.

To koło spało w dzień, a w nocy szło.

Kiedy księżyc był w pełni, ruszało z kopyta
pod bezdusznym ciężarem smug ciekłego srebra,
i wciągało pół nieba w wir wściekłym obrotem,
chrobocąc drewnianemi zębami po żebrach
młyna, a trawa pędem do ziemi przybita,
od cięć wiatru kładła się pokotem.

Na klekot i na granie wszystkich zgniłych łopat,
migotanie spróchniałych szprych w ponocnym tańcu,
z zielonej brody mchu wprost od stawideł
sypały mroczne ptaki, jak liście w listopad,
pospinane szponami związywały łańcuch,
i nikło koło w djablich świergotaniu skrzydeł.

To koło w nocy szło, w dzień spało.

Ledwie ledwie na wschodzie niebo zaświtało,
szła w górę mgła od stawów i wąziutkiej strugi,
odlatywali bez szmeru anieli
owijało się koło w opalowe smugi,
i skoro pierwszy promień z ponad lasu strzelił,
znów całe w kłakach z mchu zielonego wisiało.
Spało.

* * *

W martwocie mroźnej nocy, wiszącej nad światem,
w bezcieniu drzew łamiących gałęzie sękate,
huczą lodowe młyny — rozpostarte
w ciszy, przesypywanej piaskiem, sującym się z brzegów
urwistych zatok ku łąkom podwodnym,
a paście wodospadów nienasytnie głodnych
chłoną kłęby zbitego grzmotem w pianę śniegu
i gna księżyc, pędzony zaświatowym wiatrem,
zahaczając rogami ośnieżone granie
na północ zawrócony we śnie niespodzianie.

Pośród drzew opętanych pajęczyną szedzi
huczą młyny w polewie twardej gołoledzi,
pochylone nad taflą stawów i strumieni
trzaskają pod ciężarem wody skamieniałej,
ze skrzypieniem i zgrzytem nieostrzonej piły
mielą na krystaliczną mąkę lodu bryły,
pryskają przygarściami iskier śnieżno białych
z pomiędzy wirujących lodowych kamieni
ku gwiazdom mżącym srebrnie ponad gałęziami
i skrzy zmarzłe powietrze szklanemi igłami.

W nieprzezroczyste szkło lodowe wtopione napoły
trwają w sztywnym bezruchu bezsilne anioły,
podobne do chmur białych, wędrujących w kropli
rosy, zebranej w liścia wiosennego dłoni,
podobne kwiatom rzniętym na zamarzłej szybie,
zakutej w bryle lodu uskrzydlonej rybie
nażywo skamieniałej w krystalicznej toni
ściętej mrozem — i krzyczą z lodowatych sopli
krzykiem, który im zamarł w oczach nagłą grozą,
że już sił nie starczyło, by się oprzeć mrozom.

Z nieobjętej przestrzeni — nieprzebicie czarnej,
wieje gaszący gwiazdy wiatr polarny,
w szumie lodowych stepów zaprzepaszcza lasy,
sykiem trze o gałęzie przydrożnych topoli
ku południowi pochylonych nisko,
i rozbija w puch biały śnieżne usypiska,
gnając tuż tuż nad ziemią bez celu, bez woli,
aż ku mroźnym granicom głuchego bezczasu,
zmieniając rzeczy w kamień tchnieniem lodowatem,
w martwotę mroźnej nocy, wiszącej nad światem.

* * *

Ostatnie gwiazdy zgasły
i nad ziemią nisko
bulgoce ciepły mrok skrzydłami nietoperzy.
Nad kartoflisko
wylęgłe wczoraj ćmy
zafurkotały futrem z miękkiej szerści.
Przez szmer robactwa z czarnych łąk
i chitynowych chrzęst pancerzy
z szelestem pełznie wąż,
rozplótłszy hipnotyczny pierścień.
W spulchnionej ziemi głowy glist
do nor zbutwiałe ciągną szczątki
huśtają się kurczowo do nadbrzeżnych trzcin
przypięte i ciemnością oślepione łątki.
Na płytkiem bagnie kipi war
kijanek i pijawek
po dnie powłócząc pochwy z piachu linja larw
ku traw łodygom utyka niemrawo
i polatują chmarą z ćmy chróściki
jak najdrobniejsze płatki białych kwiatów
a z koniczyny już świerszczowej skrzyp muzyki
otwiera noc nad światem.
Gotuje się, kotłuje w parnym mroku,
nie schwycić uchem!
miljona w niskiej trawie szeleszczących kroków,
na ziemi od mroźnego mżenia gwiazd
przykrytej grubym chmur kożuchem.

* * *

Nalane smołą stoją skryte w nocy stawy
Rzeka zduszona mrokiem przystanęła w biegu.
Rosą wieje od krzaków i od kępek trawy.
Prują wodę dwa końskie łby, płynąc do brzegu.

Nakryte wielką ciszą śpią ptaki i drzewa,
Księżyc mokry i złoty wyłazi z moczarów,
Nie drgnie liść, lis nie przemknie przez zaklęty parów.
Słowik śpiewa.

Artysta i prądy w sztuce

Jedną z największych bolączek plastyki współczesnej jest zupełny brak kontaktu ze społeczeństwem.

Trudno stwierdzić, kto właściwie jest winien. Sądzę, że jest to poprostu nieuniknioną konsekwencją olbrzymich przemian społecznych w ostatniem stuleciu. Dokładne omówienie tej kwestji przekracza ramy niniejszego artykułu i zresztą samo zbadanie przyczyny nie usunie nieporozumienia.

Zdaniem mojem o wiele ważniejszą jest konieczność wyjaśnienia powodów istnienia poszczególnych kierunków w plastyce, poprostu na płaszczyźnie ustosunkowania się samego artysty do jego pracy. Pozorna rozbieżność z naturą, jaką widzimy w dziełach artystów przedostatniej i ostatniej doby, niepokojąca opinję publiczną do niedawna na zachodzie, a bardzo aktualnie jeszcze u nas w kraju, była i jest przedmiotem wielu zaciekłych dyskusyj, a niejednokrotnie przeróżnych urągań i ośmieszeń, nawet w środowiskach mających dość uzasadnioną pretensję do pewnego poziomu kulturalnego.

Skoro pragniemy rozpatrzeć sprawę na podstawie ustosunkowania się artysty do jego pracy, musimy przedewszystkiem dotrzeć do przyczyn istnienia sztuk plastycznych. Najprościej będzie przyjąć, że wywodzą się one z przyrodzonej człowiekowi konieczności tworzenia, z nieprzepartej chęci realizowania naszych wizyj. Na tem podłożu plastyka wywodząc się ze wspólnego źródła wszystkich ludzkich poczynań, staje się równocześnie celem sama w sobie, ponieważ jej najbardziej istotną przyczyną jest konieczność uzewnętrznienia wizji twórczej przez artystę.

Nie należy sądzić, by to stanowisko odrywało sztukę od łączności ze społeczeństwem. Mojem zdaniem ono ją nawet wyraźnie umacnia. Człowiek bowiem jest tak silnie ze swojem otoczeniem — niezależnie od swej woli — związany, że sama myśl twórcza rodzi się właśnie z tej zależności, obraca się w sferze przeżyć powstałych z otaczającej nas rzeczywistości. Na tem tle artysta staje się wykładnikiem pragnień i smaku swojej epoki.

Nie należy mieszać łączności artysty ze społeczeństwem — z użytkowością dzieł sztuki. Cel użytkowy dzieła narzuca artyście pewne ramy, w których porusza się w miarę swoich możliwości z mniejszem, lub większem powodzeniem. Przeważnie nie wpływa to bynajmniej na obniżenie poziomu pracy, a nieraz staje się bodźcem do stworzenia rzeczy prawdziwie monumentalnej. Najoczywistszym tego dowodem jest całe niemal malarstwo włoskie średniowiecza i renesansu, a w wielu wypadkach i baroku.

Wracając do zależności koncepcji artystycznej od ducha epoki, najwłaściwiej by było na tem tle omówić zjawisko kolejno następujących prądów w sztuce.

Max Raphael, niemiecki teoretyk sztuki, w swej książce p. t. „Von Monet zu Picasso" (Grundzüge einer Esthetik) usiłuje omówić sprawę kierunków w plastyce, doszukując się w ustosunkowaniu się artysty do wizji analogij ze znanym podziałem psychologicznym, określającym wzajemny stosunek przedmiotu do podmiotu. Wygląda to następująco: typ 1) opisowy stosunek jednostki do przedmiotu (objektywizm), typ 2) wyolbrzymienie analizy (subjektywizm), typ 3) najwyższy, synteza obydwu poprzednich. Analogja taka jest bardzo trudna do przeprowadzenia. Wydaje mi się bowiem, że żaden z tych typów nie może się zjawić ani w psychice człowieka, ani tembardziej w jego dziele, w czystej formie.

Niepodobna naprzykład powiedzieć, że w pierwszej części tego podziału znajdziemy prymityw, wieki średnie, renesans i barok. Dzieła z zakresu prymitywu np. wykazują intuicyjną wprawdzie, ale tem niemniej ogromną i przekonywującą masę syntezy. Doskonale syntetyczne również spotykamy rysunki głów u Holbeina. Przykładów nasunęłoby się tysiące.

O wiele prościej przedstawia się sprawa typu drugiego, przewagi subjektywizmu, wyolbrzymienia analizy. W tem miejscu przychodzi nam w pomoc również historja. Skoro przyjęliśmy, że artysta czuje i myśli wraz z epoką, trudno przypuścić, by okres wyzwoleńczych walk społeczych, jakim był wiek XIX, przeszedł bez echa w plastyce. Ten sam człowiek, który w życiu społecznem miał odwagę targnąć się na uświęcony tradycją wieków podział stanowy i upomniał się o swą wolność, na skromnym odcinku sztuki uczynił to samo z istniejącymi kanonami ograniczającymi jego twórczą indywidualność. W chaosie walk społecznych malarstwo, bardziej niż inne sztuki, utraciło swoją dotychczasową pozycję. Nie popierane przez możnych, zbyteczne niemal dla kościołów, zapełnionych dostatecznie dziełami z minionej epoki, pozostawione samo sobie odnalazło swój cel w wewnętrznej potrzebie tworzenia.

Druga połowa zeszłego stulecia to zwycięstwo rewolucji w sztuce. Epokę tę zaczyna oficjalnie Monet, doprowadza do rozkwitu Cezanne. I tu dopiero możemy z dużem prawdopodobieństwem twierdzić, że mamy do czynienia z absolutnie subjektywnem, analitycznem nastawieniem artysty do widzianej, bądź wyobrażonej rzeczywistości. Impresjonizm np. zrodził się z analizowania widzenia koloru. Z podobnego stosunku do zagadnień formy powstał kubizm. Impresjonizm rozbija pojęcie koloru lokalnego, kubizm to samo czyni z formą. Futuryzm analizuje samą wizję nie zahaczoną bezpośrednio o rzeczywistość. Można powiedzieć, że kierunki powstawały z analizowania każdego kolejno zagadnienia plastyki, które stawało się na jakiś czas najważniejsze i było eksperymentalnie najszczegółowiej badane.

Czemże w takim razie ma być ta najdoskonalsza synteza, która jest szczytem sztuki? Oto poprostu z otrzymanego drogą analizy materjału wybierzemy te najważniejsze szczegóły, które najistotniej określają nasz stosunek do przedmiotu i zużytkujemy je, celem opisania ujrzanej rzeczywistości. Wtedy otrzymamy syntetyczne dzieło sztuki. Marzenie bardzo piękne i bardzo trudne do urzeczywistnienia. Są wprawdzie w sztuce współczesnej dzieła, które można śmiało nazwać świadomie syntetycznemi (niektóre ostatnie obrazy Picassa, — z polskich malarzy np. martwe natury K. Witkowskiego), o wiele częściej jednak spotykamy się w sztuce ze zjawiskiem syntezy podświadomej, ściśle intuicyjnej i nie możemy twierdzić, by była ona czemś gorszem od świadomej.

O ile osiągnięcie wyników w plastyce na drodze świadomej syntezy jest wykonalne, to przedostatnia epoka burzliwych i niepokojących „izmów" dzięki umiejętnemu przeanalizowaniu zagadnień plastycznych daje tym wysiłkom jedyną trwałą podstawę, niezaprzeczalnie pierwszą w tym rodzaju wiedzę o sztuce.

Mimo pewnych luk w przeprowadzeniu analogji wyżej wymienionej teorji psychologicznej do historycznie znanej zawartości plastyki europejskiej, ma ona swoje plusy przedewszystkiem dzięki swej dostępności, i w połączeniu z analogją historyczną okresu rewolucyjnego, którą pozwoliłam sobie przeprowadzić, zdaje się być odpowiednią do roli, którą jej pragnę nadać, będącej celem niniejszego artykułu — mianowicie przerzucenia pomostu wzajemnego porozumienia między artystą a społeczeństwem.

Leokadja Bielska.

Oto człowiek

(Ewa Szelburg - Zarembina: Ecce Homo. „Oto Człowiek". 78 str. Skład główny: „Nasza Księgarnia", sp. Akc. Związku Nauczycielstwa Polskiego, Warszawa 1932)

Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że moje recenzje, których niemało rozsiałem po czasopismach w ostatnich kilkunastu latach, nie są właściwie ocenami naprawdę literackiemi; co więcej, uświadamiam sobie nawet i ten niemiły fakt, że z artystycznego stanowiska mój punkt widzenia w tych recenzjach jest naogół wadliwy. Pochodzi to stąd, że u mnie wrażliwość artystyczna potrafi się przejawiać tylko dwojako: w zwykłej rozkoszy „odbiorczej" i w przekładach z języków obcych na polski. Natomiast jako recenzenta, strona treściowa zajmuje mię nierównie bardziej niźli strona formalna; staram się przedewszystkiem wyłuskać „filozofję" — albo, powiedzmy skromniej, ideologję — danego utworu. Powtarzam: widzę sam, że w stosunku do literatury pięknej jest to stanowisko niewłaściwe lub przynajmniej niedostateczne, i nie mogące chyba zadowolić omawianych twórców. Ale znowuż, może niema tego złego etc. Naogół bowiem przeciętna krytyka u nas bynajmniej nie grzeszy przeintelektualizowaniem; kto wie zatem, czy i taka jednostronność jak moja — lub np., si licet parva componere magnis, Irzykowskiego — nie jest czasem pożyteczna, chociażby jako uzupełnienie...

„Przed dwoma tysiącami lat, — powiada p. Szelburg - Zarembina w przedmowie, — Bóg konał na krzyżu - szubienicy, uwięziony, zasądzony i skazany za swoje słowa: — Miłujcie nieprzyjaciół waszych. — Cóż się zmieniło przez te 2000 lat? Serca ludzkie nie. Bo coby się stało z tym, który, nie będąc dyplomatą upełnomocnionym przez swój rząd do zasiadania przy stole z zielonem suknem, poprostu szczerze i głośno mówiłby te słowa publicznie na zwykłej ulicy, na pierwszym lepszym rynku? Zostałby uwięziony, zasądzony i skazany jako „zdrajca".

Słusznem wydaje mi się tu jedynie to bolesne stwierdzenie, że serca ludzkie się nie zmieniły, t. j., że rozwój moralny świata poczynił zbyt nikłe postępy. Bo pozatem, ażeby z czystem sercem i bez nieświadomej obłudy przyznać słuszność autorce, trzebaby wpierw zakwestjonować aż dwie rzeczy: wartość organizacji społecznej i wartość niepodległej ojczyzny. Wszak, analizując myśl Chrystusa, dochodzimy do wniosku, że „nieprzyjaciółmi" są nie ci, których my nienawidzimy (bo w takim razie Chrystus nakazałby poprostu: Nie miejcie nieprzyjaciół), ale ci, którzy nas nienawidzą; otóż nie powinniśmy ich nienawidzić wzajemnie, t. zn. ani wyrządzać im, ani nawet pragnąć ich krzywdy: owszem, winniśmy ich miłować „jak siebie samych", czyli pragnąć dla nich pomyślności na podstawach moralnych — boć innej nie mamy prawa żądać i dla siebie. Nie przypuszczam, by za taką naukę zasądzało się ludzi i skazywało — przynajmniej u nas. Inna sprawa, jeśli tenże nieprzyjaciel pokusi się o rzecz niemoralną (t. j. nie mogącą stać się maksymą postępowania powszechnego), np. o naruszenie naszego bytu. Wówczas istotnie byłoby niedopuszczalne, by każdy obywatel propagował na pierwszym lepszym rynku swój własny pogląd na to, jak się należy do tegoż nieprzyjaciela ustosunkować. Wszak jeden mógłby głosić czynną miłość, drugi bierność nieprzeciwiania się, trzeci — najpotworniejszy odwet i t. d.; któżby zaś decydował o wyborze? Można i trzeba potępiać ślepotę polityki współczesnej, jej znikczemnienie, jej brutalną obojętność na cele absolutne istot rozumnych. Ale czy wolno się spodziewać że anarchizm jednostek dałby lepsze wyniki? Toć i politycy się rekrutują z tych właśnie jednostek, t. j. z pośród nas samych. Więc raczej, trzymając się narazie drogi mniej niebezpiecznej, czyli hierarchicznej organizacji społecznej, dbajmy o możliwie najbujniejszy i najrychlejszy rozwój świateł rozumowych. Nie wiem, czy wszędzie jest tak samo, ale w naszem społeczeństwie prawdopodobnie uznanoby za zdrajcę dopiero tego, ktoby nawoływał do nieprzeciwdziałania zaborczości wroga. Może jednak to w istocie nie jest zdrada? Lecz w takim razie czemuż gloryfikujemy nasze powstania, nasze walki o byt niepodległy? Skoro zdobywanie niepodległości było rzeczą godziwą i chwalebną, to chyba i zachowywanie tej niepodległości także.

Spieszę dodać, że nie polemizuję tu z szan. Autorką, której ani o monarchizm, ani o brak patrjotyzmu żadną miarą posądzić nie można. Usiłuję tylko rozwikłać kompleks, który w mniej krytycznych umysłach powstaje pod działaniem takich wyłącznie uczuciowych stwierdzeń.

Piękny jest prolog p. t. „Ogród niewidomych dzieci". Prolog ten, jak i cała zresztą sztuka, zapewne wywierałby na scenie wrażenie silne — silniejsze jeszcze niż w czytaniu. Uderzyła mię tu jedna rzecz, którą uważam za wybitną zaletę omawianego utworu. Mianowicie można się było obawiać, że rozdzierający temat, jakiem jest ślepota dzieci, niejako automatycznie skłoni autorkę, by się posłużyła tak modnem a tak głęboko niedorzecznem bluźnierstwem na modłę: łatwo ci, Boże, być wielkim i wspaniałym, kiedy sobie spokojnie królujesz w szczęśliwości wiekuistej: ale czy byłeś kiedy ślepem dzieckiem bezdomnem? lub głodnym nędzarzem? lub szarpanym pociskami żołnierzem? i t. d. Okrzyk taki, jako wyraz nadmiernego, mącącego rozum cierpienia, może być usprawiedliwiony psychologicznie — lecz ani logicznie, ani metafizycznie. Logicznie nie, bo mówiąc: Bóg, musimy koniecznie mieć na myśli Ens quo maius cogitari nequit; a tymczasem, zwracając się do Niego z taką nauczką, tem samem uznajemy, że Go przewyższamy i moralnie (gdyż nie ma On nawet tyle miłosierdzia co my), i umysłowo (gdyż nie pojmuje On rzeczy tak oczywistych nawet i dla nas maluczkich). Metafizycznie nie, bo wskutek absolutnej powszechności (universalitas) Rozumu — w przeciwstawieniu do indywidualności bytu — żadne cierpienie, odbite w jakiejkolwiebądź wiedzy, nie może być obce Bogu czyli Rozumowi Absolutnemu. Niezmiernie są cierpienia Syna: ale niezmierny również jest problemat jego łączności z Ojcem. Na szczęście (w znaczeniu filozoficznem raczej niż religijnem), p. Zarembina ustrzegła się najzupełniej bezpłodnych, histerycznych... lub retorycznych... oskarżeń pod adresem Boga, i w całej swej sztuce kieruje je pod jedynym adresem właściwym — t. j. do nas, do ludzi.

Kiedyż nareszcie zrozumiemy, że nie jesteśmy prostemi automatami, do cna pozbawionemi autonomji i autotelji, wyłącznie zależnemi od samorzutności Bożej? Choć jesteśmy już dosyć dorośli, aby wyrozumieć przyczyny głodu, ognia, powietrza i wojny, i dość silni, aby im solidarnie zapobiec, wolimy nie: uzupełnić swój wysiłek modlitwą, lecz: zastąpić go nią. Chcemy by dziecko, spłodzone po pijanemu, poczęte tylko przez pomyłkę, urodzone tylko przez niedopatrzenie, było zdrowym, ślicznym, wesołym aniołkiem.

Wstrząsające wrażenie sprawia obraz I p. t. „Przy grobie nieznanego żołnierza" i obraz II p. t. „Przed fabryką". W tym drugim obrazie raz jeszcze przychodzi refleksja, że głównem źródłem rozjątrzenia klasowego jest nie absolutna, lecz porównawcza nędza upośledzonych. Nawet nędzarzowi jest w społeczeństwie lepiej niżby mu było w jaskini na wyspie bezludnej; z drugiej strony, majątek nababa, podzielony między wszystkich nędzarzy, niewieleby im ulżył. Zło jest natury etycznej: bunt i odrazę budzi zoologiczny poziom jednostek, których nie mierzi zagarniać na swój wyłączny użytek niezmiernie wiele, dając wzamian niezmiernie mało. Nędza jest pojęciem względnem; nasza nędza mogłaby się mu[...]zynom wydać przepychem. Natomiast zerwanie harmonji o- między prawem a obowiązkiem, pom[...]zy indywidualnością a powszechnością, jest sprawą bezwzględną i czysto ustrojowemi środkami nieusuwalną.

Obraz p. t. „Schronisko dla bezdomnych" budzi uczucia mieszane. Z jednej strony — niema tu nic zgoła, coby mogło urazić najdrażliwsze bodaj sumienie religijne; z drugiej — budzi się jednak wątpliwość co do dydaktycznej celowości takiej bądź co bądź trawestacji wątku ewangelicznego. Chwila narodzin jest zawsze czemś wielkiem i wzruszającem, co też autorka uwydatniła z dużą subtelnością artystyczną (ob. zwłaszcza str. 45). Ale przecież w narodzinach Chrystusa upatrujemy coś niewspółmiernie donioślejszego i bardziej wyjątkowego. To też takie zbyt dokładne powtórzenie szczegółów faktycznych (aż do zawodu Cieśli włącznie), zacierając różnice, raczej osłabia wrażenie niż je potęguje.

Wprawdzie autorce szło właśnie o takie zatarcie różnic, aż do całkowitej identyfikacji historycznego Jezusa z „Nauczycielem" z obrazu V. Ale z tem czytelnikowi nadzwyczaj trudno się zgodzić. Gdyby Jezus był nam powiedział tylko te rzeczy, które tu głosi Nauczyciel, czcilibyśmy Go jako przeczystego, świętego człowieka, lecz doprawdy nie byłoby powodu wynosić Go ponad innych proroków, ponad Sokratesów i Marków Aureljuszów, zwłaszcza ponad Buddhów. Si terrena dixi vobis... Otóż Nauczyciel z zupełną wyłącznością prawi tu de terrena, jakby pokój i dobrobyt ziemski był jedynym jego celem, a nietylko koniecznym wstępem do jakichś celów absolutnych. Tutaj Nikodem z pewnością nie potrzebowałby pytać: Quomodo possunt haec fieri? — Nie, zaiste, Nauczyciel jest zbyt bladym cieniem Tamtego, którego znamy z listów św. Pawła, z czwartej ewangelji, z chrystologji naszych mesjanistów, abyśmy mogli ich utożsamiać.

W omawianym obrazie zwracają uwagę bardzo piękne, tchnące zrozumieniem samorzutności moralnej, słowa byłego więźnia: „Odcierpiałem więzienie, nie czuję w sercu pociechy. Dniem, nocą nękają mnie popełnione grzechy. Była kara za zbrodnie. Wina u ludzi zgładzona, darowana. A tu w piersi tkwi jak zatrute ostrze, niewyrwane. Ni jeść, ni spać nie mogę. Piekielne przechodzę męki. Gdzie koniec tej udręki? Kto mnie od grzechów moich zbawi? Kto mnie przez LUDZI UŁASKAWIONEGO, przed BOGIEM ułaskawi?".

Sztuka kończy się wzniosłym akordem wiary i nadziei.

Czy jest to sztuka piękna? — Niewątpliwie.

Czy jest to sztuka religijna? — Niewątpliwie. Lecz gdybyśmy chcieli mianem filozofji objąć tylko **najwyższe** wzloty rozumu, mianem zaś **religji** — tylko pojemność uczuciową na **najwyższe** prawdy metafizyczne, to musielibyśmy uznać, że religijność „Ecce Homo" już nam dzisiaj nie wystarcza. Jest ona raczej tem, czemu początek w. XIX nadawał nazwę „teofilantropji". Jest jeszcze czysto immanentna. A duch ludzki

Wieczności chce bez dna, bez dna!

Poprzez „Dokąd", poprzez „Chustę świętej Weroniki", poprzez „Ecce Homo", p. Szelburg Zarembina kieruje się ku coraz wznioślejszym zagadnieniom i nadaje im kształty coraz szlachetniejszej prostoty.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Jak zwalczyć kryzys

Obecny kryzys gospodarczy jest skutkiem kryzysu naszej cywilizacji, opartej na kłamstwie i tylko odkłamanie życia może uratować sytuację.

Kłamstwo — to wprowadzanie w błąd Błądzić—to zdążać nie do celu, czyli oddalać się od niego. O ile więc ludzkość zdąża do celu-dobrobytu po błędnej drodze, to dojść ona musi do bytu złego i najgorszego, czyli zginąć. Na to się zanosi obecnie i taki też los przepowiedział ludzkości niedawno zmarły najznakomitszy prawnik i socjolog czasów ostatnich prof. Petrażycki, który pod koniec życia utracił wiarę w ludzkość, uznając ją za niepoprawnie głupią i złą. Miejmy jednak nadzieję, że się omylił.

W życiu jest wiele zła. Należałoby je naprawić. By jednak naprawić coś, trzeba wpierw poznać to dokładnie. Naprawiać zegarek np. nie mając żadnego pojęcia o jego mechaniźmie, to znaczy tylko psuć go. Co to jest życie nie wiemy, na pytanie to nie mamy rzeczowej, naukowej odpowiedzi. Mamy natomiast wielu znachorów-naprawiaczy życia. I dlatego też mamy kryzys, z którego nikt wyjścia nie widzi i który grozi zagładą światu cywilizowanemu.

Wiele zła wypływa z nierówności politycznej i gospodarczej. Trzeba tę nierówność usunąć. Ale jak, w jaki sposób? Znachorzy znajdują łatwo odpowiedź: za pomocą dekretów, uznających równość i wywłaszczających osoby prywatne na rzecz ogółu - państwa. Przyczynę bowiem nierówności widzą oni w złej woli ludzkości. Jest to kłamstwo.

Nierówność polityczna, społeczna i gospodarcza jest skutkiem nierówności fizycznej i umysłowej, która jest zjawiskiem naturalnem tj. niezależnem od człowieka, lecz wywołanem przez naturę. Twierdzenie znachorów, że nierówność umysłowa jest skutkiem nierówności gospodarczej, jest oczywistem kłamstwem wobec faktu, że bywają wielkie różnice umysłowe nie tylko wśród przedstawicieli jednej klasy, lecz i wśród dzieci jednych rodziców. Różnice wśród ludzi bywają większe niż wśród zwierząt różnych gatunków. Między idjotą a Kopernikiem jest większa różnica, niż między myszą a słoniem. Naturalne różnice fizyczno - umysłowe muszą pociągać za sobą również naturalne różnice społeczno - polityczne i gospodarcze. Równość Kopernika i idjoty to gruba nierówność. Równość powszechna to poniżenie Koperników na rzecz idjotów, przyznanie sytuacji nóg dla głowy, a sytuacji głowy dla nóg, czyli znowuż nierówność, ale z odwróceniem naturalnego, sprawiedliwego porządku nierówności, stanowiącego też o istnieniu organizmu społecznego, co prowadzi do zniszczenia tego organizmu, analogicznie, jak chodzenie na głowie prowadzi do zniszczenia organizmu fizycznego.

Postęp to rzecz piękna i potrzebna, ale wymagająca znajomości celu i drogi, gdyż można postępować nie tylko do raju ale i do bajora. Wolność i równość idjotów i Koperników prowadzi do supremacji idjotów, jako większości, która staje się łupem manjaków i szarlatanów, prowadzących ludzkość do niewoli, nędzy, zdziczenia i zagłady. Obecny kryzys jest wynikiem końcowym panowania absurdalnego hasła wielkiej rewolucji francuskiej, że nierówność jest równością. I jedynym ratunkiem dla rasy białej, stawianej tym hasłem na głowie, jest uznanie oczywistej realnej rzeczywistości, że nierówność jest nierównością.

Nierówność stanowi o istnieniu społeczeństwa, gdyż równość uniemożliwiałaby podział pracy, czyli pracę zbiorową, bo tu wszyscy musieliby być albo zamiataczami [...] ministrami. Bez podziału zaś pracy życie społeczne byłoby niemożliwe. W razie też walki, o którą wśród ludzi tak [...] two, równi wymordowaliby się wzajemnie, gdyż nikt tu nie mógłby zostać zwycięzcą.

Prawa natury są niezłomne. Łamiąc je w stosunku do siebie i innych, łamiemy siebie i innych, popełniamy samobójstwo i zabójstwo.

Między zamiataczem moskiewskim a Leninem nigdy faktycznie nie było równości. Dziś zaś bolszewicy wprowadzają i teoretycznie - prawnie nierówność gospodarczą, wprowadzając pod presją życia średniowieczne, ale naturalne metody płacy i pracy według zasady: jaka praca taka płaca. Wymordowali miljony swych przeciwników, a dziś popełniają samobójstwo moralne, by uniknąć fizycznego. Tłumaczą swoje niepowodzenia brakiem odpowiedniego wychowania proletarjatu i pokładają wszystkie nadzieje w tem wychowaniu, ale ludzi nie można hodować jak bydła, cechą człowieka jest bunt przeciw narzuconej rutynie. I o bunt ten najłatwiej tam, gdzie rutyną jest nędza i niedola kompletna jak w ustroju komunistycznym.

W innych krajach poza Rosją obowiązuje jeszcze socjalistyczna zasada płacy nie według pracy, lecz według apetytu i dlatego jest tam około 20 miljonów bezrobotnych. Tu socjalizm jeszcze usiłuje mordować innych.

Zubożenie powojenne, utrata rynków zbytu itp. pośrednie przyczyny bezrobocia usunęłoby łatwo wyrównacze działanie życia — najlepszego ekonomisty, gdyby nie socjalizm, hamujący to działanie swą zasadą płacy nie według pracy lecz apetytu.

Socjalizm powstał z błędnej zasady równości politycznej i realizuje równość ekonomiczną i wszelką inną w prostacki, naiwny sposób przez upaństwowienie własności i produkcji. Kapitalista wyzyskuje robotnika zabierając z plonu jego pracy wartość dodatkową. Stąd nędza robotnika i zło społeczne wogóle. Upaństwowienie własności i produkcji odda robotnikowi cały plon jego pracy i będzie raj — twierdzi socjalizm. Jest to kłamstwo. Rzeczywistość przedstawia się w sposób wprost przeciwny. Jest źle, ale to zło jest rajem w porównaniu z dobrem socjalizmu. Widzimy to już na przykładzie w Rosji. Teoretycznie zaś sprawa przedstawia się następująco.

Przedewszystkiem nie może być ustroju niekapitalistycznego. Kapitał to narzędzia, warsztaty i zaliczka na przyszły plon. Bez kapitału niemożliwa jest produkcja. Ustrój socjalistyczny to ustrój państwowo-kapitalistyczny. Pozatem nie kapitał jest przyczyną zła społecznego lecz naturalna nierówność fizyczno - umysłowa i naturalna też walka o byt — konkurencja, prowadząca do przywilejów społeczno-majątkowych, które są darem przyrody, a nie skutkiem wyzysku. Głupi i rozrzutny byłby nędzarzem i wówczas, kiedy by nie było żadnych kapitalistów. Zdolni, oszczędni zdobywają kapitał, organizują produkcję, dostarczają pracy i środków do życia nieudolnym. Zdolności są źródłem kapitału, kapitał zaś jest źródłem pracy. I dlatego kapitał musi być ochraniany, nie może być konsumowany, lecz musi wzrastać tj. amortyzować się i rentować. Wartość dodatkowa jest fikcją, błędem rachunkowym, jak to udowodnił Böm-Bawerk. W ustroju więc państwowo - kapitalistycznym robotnik nie może zarabiać więcej niż w ustroju prywatno - kapitalistycznym. I nie tylko nie może więcej lecz musi zarabiać mniej, bo kapitał państwowy też musi się amortyzować i rentować, a ze znanych względów przedsiębiorstwa państwowe, zwłaszcza kierowane przez wiecowników, zawsze pracują mniej sprawnie i oszczędnie od prywatnych, więc koszta amortyzacji muszą być tam wyższe, a rentowność niższa. Niedobór tu może być pokryty tylko kosztem płac. Robotnik w ustroju socjalistycznym jest żołnierzem, niewolnikiem kapitału (i to nieudolnego).

Wręcz przeciwnie jest w ustroju „burżuazyjnym". Robotnik jest tu wrogiem i w pewnej mierze komendantem kapitału. Zamiatacz gazowni warszawskiej pobiera 600 zł. miesięcznie — tyle ile naczelnik wydziału ministerstwa. Kazał sobie tyle płacić i płacą mu, bo się boją strajku. I to właśnie jest bezpośrednią ekonomiczną przyczyną obecnego bezrobocia. Stabilizacja gwałtem płac, a stąd i cen wbrew konjunkturze — życiu samemu, wymagającemu daleko idącej zniżki.

Kapitał bowiem nic nie opłaca i opłacać nie może bez szkody dla produkcji, gdyż zostałby rozproszkowany, skonsumowany. Wszystko opłaca — pracę i kapitał bezpośredni konsument, tj. ten, który nie może swych wydatków przerzucać na innych. Zamiatacza więc opłaca nie właściciel gazowni lecz m. i. np. urzędnik, który grubo przepłacając zamiatacza nie może nabyć sobie rękawiczek np. i stąd rękawicznik zostaje bezrobotnym. Bezrobocie zmniejszając konsumpcję wywołuje dalsze bezrobocie. Bezrobotnym pomaga państwo kosztem oczywiście bezpośredniego podatnika-konsumenta, który w ten sposób jeszcze mniej może konsumować, co znowuż powoduje dalsze bezrobocie i tak aż do powszechnego bezrobocia, bankructwa. I jeśli też bezrobocie nie zmniejsza się to znaczy, że się zwiększa, gdyż bezruch nie istnieje.

Takie absurdy jak głód obok nadprodukcji, klęska urodzaju itp. są prostym skutkiem absurdu płacy według apetytu, zrodzonego z kłamstwa o wyzysku robotnika. W ustroju też wolnokonkurencyjnym nie może być wyzysku. Jeśli ktoś zgadza się dobrowolnie pracować na danych warunkach, to znaczy, że lepsze nie istnieją dla niego przy danej konjunkturze i płaca jego ściśle odpowiada swej wartości. Wyzysk wogóle może istnieć tylko tam, gdzie niema wolnej konkurencji, tj. w państwie socjalistycznem, gdzie robotnik jest wyzyskiwany i w państwie „burżuazyjnem", steroryzowanem przez związki zawodowe, gdzie robotnik branż pierwszej potrzeby jest wyzyskiwaczem i to wyzyskiwaczem przedewszystkiem swego towarzysza-robotnika z branż nie pierwszej potrzeby (gdzie strajk nie skutkuje), który za komfort zamiatacza płaci nędzą bezrobocia. Nie burżuazja w zasadzie, lecz socjalizm jest wrogiem i wyzyskiwaczem proletarjatu. Błąd prowadzi nie do celu czyli w przeciwnym kierunku.

Z przyczyn technicznych rolnictwo nie może się skartelizować i jako zależne od kaprysu przyrody—pogody, swobodnie regulować i czasowo likwidować produkcji nie może i stąd uzależnione jest bezwzględnie od prawa podaży-popytu. Przemysł zaś może w pewnej mierze opierać się temu prawu i stąd daje on obecnie rolnictwu co łaska a żąda od niego co chce. Stąd też klęska urodzaju, na którą jedyną radą może być uzależnienie też i przemysłu od prawa podaży - popytu, co może nastąpić wtedy tylko, kiedy ulegną temu prawu i płace robotnicze — kiedy niemożliwym będzie absurd 600 zł. pensji zamiatacza tam, gdzie mnóstwo ludzi zgodziłoby się pracować za 150 zł.

Produkcja zależy od zdolności płatniczej konsumenta. Przeciętny konsument powojenny jest znacznie uboższy od przedwojennego, nagle zbogacić się on nie może, a więc produkcja musi odpowiednio potanieć.

Obecny obieg pieniężny w Polsce waha się około 1 miljarda fr. zł. gdy przed wojną wynosił około 5 miljardów fr. zł. Co do podatków to obecnie każdy złoty musi być około 5 razy w ciągu roku własnością państwa lub gminy. Stąd wielki głód gotówki, która z tej racji winnaby być b. droga, około 5 razy droższą niż przed wojną, czyli że ceny winneby być obecnie 5 razy niższe od przedwojennych, by Polska była równomiernie jak przed wojną nasycona finansowo, tj. by wszyscy mieli udział w dochodzie społecznym — żeby nie było u nas bezrobocia. I życie doprowadziłoby do tego, gdyby pozwolono mu działać, t. j. gdyby zapewniono wolność konkurencji (ujmuję rzecz schematycznie; dokładnie odpowiadający konjunkturze poziom cen może ustalić tylko życie przy wolnej konkurencji).

Zniżka płac przy odpowiedniej zniżce cen nie zmniejszy konsumpcji tych, którym zniżono płace, a stworzy, wzgl. zwiększy ją tam, gdzie dziś ona nie istnieje, wzgl. jest zmniejszona z powodu wysokich cen, t. j. przedewszystkiem u ludności wiejskiej. Zniżka cen, to powiększenie kapitału pieniężnego — źródła produkcji. Co do minimum egzystencji, to nietylko jakieś tu minimum, ale i sama egzystencja nie jest i nie może być nikomu zapewniona. Zamożny może być jutro nędzarzem, jak żywy trupem. Robotnik może być jutro bezrobotnym. I u bezrobotnych należałoby się też poinformować, co sądzą o tem minimum.

Życie — to walka o byt, wzajemne pożeranie się. Każde życie utrzymuje się kosztem życia cudzego. Zwycięża zawsze silniejszy (pod siłą nie należy rozumieć tylko siły fizycznej). Siła jest racją, prawem przyrody. Jest to porządek okrutny, ale każdy inny byłby o wiele okrutniejszy. Odmienić go np. zgodnie z naszem uczuciem litości, to uchronić słabszych przed silniejszymi, czyli wszystkich pozbawić środków do życia — skazać wszystkich na śmierć głodową. Przyroda zaś skazuje na śmierć (i to nie głodową w zasadzie i po pewnym okresie życia) tylko słabszych na rzecz silniejszych i w ten sposób ulepsza życie, stwarza postęp. Nie wynika z tego, że i ludzie mają wzajemnie się pożerać. Obowiązuje bowiem w przyrodzie porządek, że istoty podobne nie pożerają się wzajemnie, lecz popierają lub zachowują się neutralnie. Walka bowiem podobnych sobie istot jako niszczenie się wzajemne jest nonsensem. Ludzie jednak tylko częściowo uznają ten porządek i to jest główną przyczyną ich cierpień i nieszczęść — o wiele z tej racji większych niż u zwierząt. Usuwać te nieszczęścia i cierpienia, to łagodzić walkę, a nie potęgować ją, jak to czyni socjalizm

Człowiek nie jest samowystarczalnym i stąd musi żyć w gromadzie celem wymiany wartości i usług. Wymiana ta musi być sprawiedliwa, t. j. ekwiwalentna, pod rygorem zagłady społeczeństwa. Wobec wielkich różnic w uzdolnieniu ludzi o ekwiwalentności może decydować tylko wolna konkurencja. Mniej uzdolnieni jak dają tak otrzymują też mniej. Stąd zjawisko rzekomo pokrzywdzonych i wy[...]o naiwnej litości i sprawiedliwości ludzkiej, pozwalającej mniej uzdolnionym brać siłą fizyczną więcej niż im się należy. Litość zaś ludzka, jako zasada, jest właśnie największem okrucieństwem. Zastosowana do całego świata, skazałaby go na śmierć głodową. Zastosowana do ludzkości i ją też skazuje na taką śmierć. Nadmiernie czerpiący z dochodu społecznego zamiatacz odbiera wszelki dochód rękawicznikowi, tworzy bezrobocie, które, jako zaraźliwe, wywołuje dalszy wzrost bezrobocia, aż do bezrobocia powszechnego — do powszechnego braku dochodu i śmierci głodowej całego społeczeństwa.

Zwalczyć kryzys może tylko rząd. Całe zadanie sprowadza się przedewszystkiem do uwolnienia życia z pod duszącego ucisku demagogji.

W. Sikorski.

Surowy jedwab

Jasnorzewska (Marja Pawlikowska). Surowy jedwab. Warszawa 1932. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

Nowy tomik Pawlikowskiej ukazuje nam tę samą dobrze znaną z poprzednich prac indywidualność poetycką. Autorka idzie dalej po drodze już uzyskanych osiągnięć i to mogłoby nasunąć przypuszczenie słabnięcia twórczego. Tak jednak nie jest i brak wysiłku w kierunku nowych zdobyczy formalnych i zmiany nastawienia twórczego w niczem nie umniejsza wartości tej czysto kobiecej, buduarowej, bibelotowej poezji. Wiersze Pawlikowskiej to drobiażdżki, zabaweczki, szczególiki. Autorka nie ma ambicyj do wielkich syntez, woli analizować przelotne uczucia, nastroje, wrażenia. Lecz jest w tem wszystkiem mistrzynią. Właśnie w tych drobnych perełkach natchnienia, szczodrze rozsianych po stronicach tomiku, jest najzupełniej i najczyściej sobą. Tam objawia się jej szczery talent: w czystości słowa poetyckiego, składni, śmiałości i trafności przenośni. Wiersze trochę większe, o posmaku satyrycznym, jak: Do mięsożerców. Do chorego, Matka natura, dźwięczą nutą Rimbaudyzmu, czasem via Tuwim. Charakterystyczną cechą Pawlikowskiej jest to, że nie „żyłuje" natchnienia, przeżycia podaje najczęściej w formie status nascendi krystalizacji ich w ekstazę poetycką, nieraz zdawałoby się, bez szlifu. Dlatego drobne jej wiersze są tak skondensowane treściowo i formalnie.

w. s.

Fizyka u wrót otchłani

W doskonałym odczycie swoim p.t. „O znaczeniu intelektualizmu w literaturze“ S. I. Witkiewicz porusza m. in. sprawę stosunku inteligencji polskiej do filozofji i do nauk przyrodniczych. Stwierdza, że sądy i zdania wygłaszane na temat filozofji są u nas niezwykle płytkie i powierzchowne, co wynika z zupełnej nieznajomości przedmiotu i samej istoty tej dyscypliny: natomiast szerzy się bałwochwalczy niemal kult nauk przyrodniczych ugruntowany na podziwie dla niezaprzeczalnych i popularnie znanych zdobyczy techniki w wieku XX-ym. Typowym reprezentantem tej ignorancji filozoficznej, przy nadmiernie wybujałej fizyko-techniko-manji jest niewątpliwie Bruno Winawer, którego zgilotynował Witkiewicz w artykule „O najazd na filozofję“ („Gazeta Polska“ z dn. 11 i 12.II br.).

Przeciętny inteligent nie zdaje sobie sprawy z różnicy, jaka dzieli przedmioty i metody poznawcze nauk przyrodniczych, nawet takich jak astronomja, od metod i problematów filozofji, zwłaszcza transcendentalnej. Przeważa mniemanie, że rozwój nauk w wieku XIX-ym i XX-ym zdetronizował filozofję, odbierając jej, jeden po drugim, całe kompleksy rzeczywistości, dotychczas przez nią rozważane. Jest to pogląd najzupełniej fałszywy. Problemat prawdziwej filozofji (więc nie logistyki i nie psychologji, z któremi to działami wiedzy utożsamia ją wielu), znajduje się nietylko u zbiegu wszystkich układów zjawisk, jakie podlegają badaniu naukowemu — ale na płaszczyźnie o tyle wyższej, że żadna z metod naukowych nie zdolna jest go dosięgnąć. Z wysokiego stanowiska, jakie zajmuje w ten sposób filozofja, ma ona perspektywiczny i wszechstronny ogląd terenów nauk doświadczalnych, takich jak chemja, fizyka, astronomja, biologja. Natomiast, te niższe, ograniczone pod względem zakresu dyscypliny nie mogą nawet dostrzec — nie tylko określić należycie — zasad podstawowych i celów ostatecznych tej wiedzy, która wychodzi zawsze z założeń i pojęć a priori. Rozwój nauk doświadczalnych tak gwałtowny i zadziwiający, oczyścił tylko pole działania filozofji z elementów dla niej nieistotnych, któremi musiała się dawniej z konieczności zajmować. Tem samem rozwój ten przyczynił się do wyraźnego odgraniczenia dyscyplin i zakresów wiedzy tak bardzo różnorodnych. Należy tedy pamiętać, że poszczególne nauki przyrodnicze, są to hipotetyczne i eksperymentalnie sprawdzane opisy pewnych wycinków rzeczywistości; wycinki te stanowią nienaturalne wykroje z całości wszechświata, będącego w istocie jednym organicznym splotem zjawisk. Natomiast filozofja jest to wiedza o rzeczywistości samej w sobie, o jej przyczynowości, celowości i prawach, o bycie i o wiedzy wogóle.

Otóż prymitywne umysły, które o sensie i zasadach filozofji mają bardzo luźne i mgliste wyobrażenie, skłonne są sadzić, że nauki przyrodnicze mają coś istotnego do powiedzenia w sprawie t. zw. zagadki bytu, że w przeciwieństwie do abstrakcyjnego filozofowania, wspierają się one na jakichś murowanych, konkretnych danych. Tymczasem rzecz ma się wprost przeciwnie. Wysiłki przyrodników mając do czynienia z nieprzejrzaną, galaretowatą, bo pozbawioną jakiegokolwiek szkieletu apriorycznego masą faktów, błąkają się po manowcach przypadku, zawsze w obawie, że jakieś nowe odkrycie, wywołane udoskonaleniem narzędzi, rozbije nagle w puch cały gmach wysnutych przez indukcję prawideł. Filozofja zaś, podobnie jak matematyka i logika, gruntuje się zawsze na kilku przynajmniej niezmiennikach, kilku zasadach apodyktycznych, będących treścią samego czystego rozumu.

Astronomowie i fizycy zaczynają sobie coraz bardziej zdawać z tego sprawę. Przed kilkunastu jeszcze laty wypowiadali się oni z zuchwałą pewnością siebie, pływając na wydętym pęcherzu materjalistycznego światopoglądu. Dziś materjalizm jest w stadjum panicznego odwrotu. Fizyka stanęła u wrót otchłani. Okazuje się, że poza tkaniną pozornie prostych i doświadczalnie wykrytych elementów świata, roztacza się dziedzina sił i przyczyn, których istoty nie sposób przeniknąć.

Inteligencja polska pochłania dziś ciekawe książki Jeansa, angielskiego astronoma, popularyzatora najnowszych odkryć fizycznych, nie wiadomo jednak, czy umie ona wyciągnąć wnioski z zawartych tam stwierdzeń. Czy dostrzega, jak zwolna poprzez żmudne dociekania przyrodników, przebłyskiwać zaczyna problemat filozofji, ten zenit i cel najwyższy wszelkiej wiedzy?

Ostatnie półwiecze było hodowlą „speców“. Wszechwładny przed wojną pozytywizm nastawił umysły analitycznie, uczył je rozszczepiania i rozproszkowywania w nieskończoność faktów i zjawisk. Syzyfowa praca rzemieślników naukowych usypała całe góry doświadczeń, pracowicie szufladkowanych. Nagromadzono tyle materjału, że dziś już żaden, najgenjalniejszy mózg świata, nie zdołałby go ogarnąć. Powstała prawdziwa wieża Babel, w której 10.000 uczonych różnych specjalności potworzyło mnogie języki i narzecza naukowe, wykluczające możność wzajemnego porozumienia.

Jakiż rezultat tej masowej kultury „speców od wyrostka robaczkowego“? Przypatrzmy się fizyce: Zakwestjonowano materję. Teorja kwantów ukazała wszechświat, jako układ węzłów energji. Einstein buduje świat czterowymiarowy, neguje przestrzeń euklidesową na rzecz pól magnetycznych, sprowadza wszystko do względności, czy gry wzajemnej stosunków, nie widząc, że samo pojęcie względności powołuje już absolut. Genjalny de Broglie upraszcza obraz fizyczny rzeczywistości do maksimum, bo widzi w nim już tylko systemat fal (tożsamość teorji falowej Huyghensa i emisyjnej Newtona), występujących raz pod postacią światła, a drugi raz materji. Wreszcie wkracza na arenę indeterminizm. Prawa nie rządzą już z matematyczną ścisłością zjawiskami. Różne niespodzianki i odchylenia każą postawić paradoksalną hipotezę „wolnej woli“ elektronów, które zachowują się w jednych i tych samych warunkach zupełnie nieprzewidzianie.

Właściwie jednak niema, ani materji, ani światła, ani nawet fal, które strąciły z piedestału demokrytowskie fetysze-atomy, są tylko kierunki napięć, czy też sił, są wreszcie pewne wielkości matematyczne i one to może są właściwemi elementami świata czaso - przestrzennego. Jeans powiada w jednej ze swoich książek, że Bóg-Stwórca jest niezbędnym postulatem fizyki nowoczesnej, ze względu na nadprzyrodzoną celowość procesów kosmicznych, ale ten Bóg zdaje się być matematykiem, który poza zasięgiem naszych dusz i mózgów prowadzi sam dla siebie wieczystą grę rozumową, układając i rozwiązując swoje gigantyczne równania.

Stop! Tu fizyka wkracza w sferę zagadnień transcendentalnych. Któż nam zabroni mniemać, że cały organizm kosmosu wraz z miljardami Dróg Mlecznych i rojami planet zamieszkałych przez żywe twory — to poprostu symboliczne rozwinięcie słynnego wzoru energji: $e = \left(1 + \frac{1}{\infty}\right)^{\infty}$

Ale dlaczego Bóg ma być tylko matematykiem? Czy fizyka nie stanęła tu u wrót otchłani? Dawniej przyrodnicy twierdzili, że Stwórca jest mechanikiem. Dziś nastąpił awans, bo światopogląd mechanistyczny okazał się niewystarczającym i naiwnym. Jutro może fizyka dojdzie definitywnie od przekonania, że procesy kosmiczne wykraczają poza sferę matematycznych problemów. Powie się wtedy, że Bóg jest filozofem i snuje sobie systemat pojęć a priori. Tu kres hipotez panów od metody doświadczalnej. Ale zagadnienie dyscypliny transcendentalnej w tem miejscu dopiero się zaczyna.

Tylko filozofja może dotrzeć do rdzenia tej Wielkiej Niewiadomej, która nieśmiertelny mędrzec królewiecki nazwał „rzeczą samą w sobie“. Tylko filozofja dać może odpowiedź na odwieczne pytanie ducha ludzkiego o prawdę (problemat spekulatywny), o dobro (problemat praktyczny) i o piękno (wzniosły problemat teleologji estetycznej). Tylko ona dźwignąć może rozum ludzkości całej ku samej istocie rzeczywistości absolutnej. Tylko ona założyć może wreszcie prawdziwą encyklopedję nauk, wyznaczając tym poszczególnym dyscyplinom ich prawa i problematy, wysnute i rozgraniczone, a priori.

dr. Stan. N.

„Poprostu truteń“

Prowadzenie polemik literackich z poszczególnymi przedstawicielami jakichkolwiek idej nie leży na linji naszego pisma, gdyż polemiki tego rodzaju często z płaszczyzny rzeczowych argumentów schodzą do poziomu osobistych animozyj i uczuciowych wynurzeń. Jeżeli więc występuję w niniejszym artykule przeciwko działalności p. Brunona Winawera, to czynię to nie w celu zwalczania jego przekonań (bo tylko na rzeczowe argumenty można wysunąć rzeczową replikę) ale dla napiętnowania aroganckiego tonu, którym usiłuje on pokryć swoją wręcz potworną filozoficzną ignorancję.

S. I. Witkiewicz w artykule swoim: „Z powodu najazdu na filozofję“ (odpowiedź B. Winawerowi. Gazeta Polska 11 — 12 luty b. r.) postawił i poparł naukowemi argumentami następującą tezę: „„...fizyka Istoty Bytu nam nie przedstawia, jest tylko wygodnym opisem świata, według najdogodniejszych fikcyj matematycznych. Fizyka ma swoje zadania — a filozofja swoje“.

Na artykuł S. I. Witkiewicza pan Winawer nie odpowiedział. A szkoda. Rzeczowa polemika literatów o krańcowo odmiennych światopoglądach mogłaby się przyczynić do głębszego zbadania problemów, które należą do najistotniejszych: „stosunku naszego fizycznego poznania (opartego o matematykę i udowodnionego doświadczeniem) do poznania filozoficznego...“ (Witkiewicz). P. Winawer przechodząc do porządku dziennego nad zarzutami Witkiewicza prowadzi nadal swoją destrukcyjną działalność, szerząc zamęt w umysłach i pogłębiając kompromitujące go nieporozumienie — zaś w braku argumentów rzeczowych ostrzeliwuje Witkiewicza „dowcipuszkami“ o problematycznej wartości, kontynuując swój tragikomiczny najazd na filozofję.

Tym razem za cel swych napaści obrał p. Winawer czcigodną postać Sokratesa. („Drugi sąd nad Sokratesem“ — Wiad. Lit. nr. 429). Dowiadujemy się z prawdziwem zdumieniem rewelacyjnych wiadomości o Sokratesie; podobno: „był to opój i nicpoń. Puszczał bańki nosem i nic więcej“. Nie będę tłumaczył panu Winawerowi kim był Sokrates i w czem leży jego wielkość, bo aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć czem jest filozofja i jakie są jej metody, a p. Winawer nie ma o tem zielonego pojęcia (czego nie potrzebuję udowadniać, uczynili to bowiem kompetentniejsi odemnie, zresztą p. Winawer sam się nieustannie demaskuje). Oto charakterystyczne zdanie o djalogach platońskich: „Gadanie zamiast badania, przypieranie słuchacza od muru, żonglowanie słowami... Można tem dziurę w brzuchu wywiercić, ale nie można odkryć promieni kosmicznych, fal elektrycznych, zjawisk spektralnych“. Oto klasyczny przykład filozoficznej ignorancji (przypominają się osławione „Thalesy“). Najlepszem autem nie można przepłynąć oceanu, największym okrętem nie można przebrnąć pustyni. Trudno, kałamarz nie jest szczoteczką do zębów i na to niema rady.

Z tego, że p. Winawer nie rozumie filozofji, nie możemy mu robić zarzutu. Jest to smutne, ale nie wszyscy zostali jednakowo uposażeni przez Stwórcę. Karygodnym natomiast faktem jest świadome wprowadzanie czytelnika w błąd. Trudno bowiem przypuścić, by ktoś ze średniem nawet wykształceniem, mógł opowiadać o Sokratesie podobne banialuki: „Sokrates był doprawdy jakąś hałaśliwą maszyną, nastawioną na „bieg wolny“ (na „Leerlauf“) nie wykonywał żadnej pracy, jego pytania i odpowiedzi przypominają słynne rozmówki z Ollendorfa, albo kłótnie adwokatów z Dickensa. Był to opój i nicpoń. Puszczał bańki nosem i nic więcej“. Jeżeli jednak zaszedł fakt tak smutny, że p. Winawer niczego więcej o Sokratesie powiedzieć nie może, niechże czemprędzej uzupełni kompromitujące luki swego wykształcenia. Narazie polecamy podręcznik Terlikowskiego używany w czwartej klasie gimnazjalnej. Dowie się p. Winawer z tej pożytecznej książeczki, że Sokrates był nietylko genjalnym filozofem, ale dzielnym żołnierzem i wzorem obywatela. „Znakomity“ popularyzator nauk ścisłych, znajdzie w tym podręczniku niejedną wiadomość z dziedziny historji rozwoju nauk matematyczno - przyrodniczych, bo jak wykazał jego ostatni artykuł i z tem jest bardzo krucho. P. Winawer beztrosko cytując za A. H. Comptonem, rozgłasza wszem wobec na łamach „Wiadomości Literackich“, że „...nauka grecka — po świetnych początkach — zeszła na manowce, roztopiła się w taniem mędrkowaniu, uschła, nie wydała owoców“. A wszystkiemu temu winien... Sokrates, „opój i nicpoń... wstrzymał postęp na stulecia całe... i ględził“. W zdaniu tem tkwi podwójny absurd, bo gdyby istotnie rozwój nauk został wstrzymany przez jednego człowieka, to trudno przypuścić, by mógł to uczynić opój i nicpoń. Musiałaby to uczynić jakaś niesłychanie potężna indywidualność, a zresztą wszyscy wiemy, że tak nie było.

Ciągłość nauki greckiej, począwszy od Talesa aż po uczonych szkoły aleksandryjskiej nie doznała żadnej przerwy. Myśl grecka w zaraniu dziejów łączyła w osobach swych przedstawicieli fizykę z filozofją. Klasyczny okres filozofji greckiej przypadający na wiek V — IV-y doprowadził jedynie do nieuchronnego, a zarazem niezwykle doniosłego rozłamu pomiędzy filozofją a poszczególnemi naukami. Nie zatamowało to bynajmniej ich rozwoju, jak biada p. Winawer za A. H. Comptonem, lecz wprost przeciwnie — przyczyniło się do późniejszego ich rozwoju. Poziom nauk od współczesnego Sokratesowi Demokryta nie obniżył się w następnych pokoleniach. W pierwszej połowie czwartego wieku mamy obok spekulatywnej filozofji platońskiej, znakomitych uczonych pitagorejskich, z Archytasem na czele. Tytaniczna postać Arystotelesa ponownie łączy w sobie filozofję z naukami empirycznemi. Już w następnych pokoleniach dochodzi jednak do ostatecznego rozłamu pomiędzy temi dyscyplinami, rozłamu, który odtąd miał trwać wieki. Na okres ten przypada rozkwit nauk matematyczno - przyrodniczych, które mogą się pochwalić takimi przedstawicielami, jak: Teofrast, Arystarch (prekursor Keplera i Kopernika), Archimedes. Szkoła aleksandryjska, założona w połowie IV wieku, staje się niebawem centrum badań naukowych, mając przedstawicieli tej miary, co Euklides, Apolonjusz, Ptolemeusz, Eratostenes. Takiemi oto postaciami może się poszczycić myśl grecka po „destrukcyjnej“ działalności Sokratesa. A trudno mniemać, jak słusznie zauważył p. Stanisław Ossowski, by: „...zgubne wpływy Sokratesa zaczęły działać dopiero w paręset lat po jego śmierci“.

Widzimy więc, na jak ścisłej podstawie oparte są wywody p. Winawera i jego protegowanych.

Jeszcze jedno słówko. P. Winawer namąciwszy wody, wycofuje się tchórzliwie, pisząc: „O tym drugim sądzie nad Sokratesem, musiałem moich czytelników zawiadomić. Trudno — obowiązek kronikarski. Ale tu znów podkreślam wyraźnie i zaznaczam dobitnie: nie ja nazwałem Sokratesa greckiego idjotą, chociaż go może za idjotę uważam“. Otóż jeżeli p. Winawer informuje nas o tym głupawym sądzie i książce Moszkowskiego p. t. „Sokrates der Idiot“, zapytuję, dlaczego w kronice swojej zaprząta głowy podobnemi bredniami? A może to poprostu camera obscura? Jeżeli tak, to zwracam mu honor i serdecznie winszuję trafnego doboru zabawnych nowalijek.

Bolesław Miciński.

Jeans i Milikan

przerzucają się kosmosami

Bruno Winawer, uchodzący u nas za najwybitniejszego popularyzatora wiedzy ścisłej, autor „Bocznej Anteny“, gdzie czasami udawało mu się wyłożyć w uproszczony sposób nowe zdobycze w dziedzinach fizyki, chemji i astronomji, od pewnego czasu coraz częściej „oznajmia strwożonym czytelnikom Wiadomości“ i „bije na alarm“ z powodu, jakoby, rozwiązania wszystkich tajemnic wszechświata i życia przez fizykę i astronomję. (Działalność p. W. znajduje zwolenników). Niedawno pewien żyd. bijący czołem przed kabałą, informował mnie na podstawie feljetonów Winawera, że jakiś uczony, fizyk amerykański, czy inny, empirycznie dowiódł istnienia Boga. Oświadczenie jego brzmiało podobnie do oświadczenia pewnego ośmioklasisty przed wojną: „Boga niet. Eto w wyzszej matiematikie na diffieriencjałach dokazywajetsia“).

Nie chcę się tu wdawać w rozważania, czy rzecz ma się istotnie tak, jak mówi p. W. Chodzi mi raczej o postawę Winawera wobec odbiorców jego elaboratów popularyzatorskich i o ton polemiczny i zaczepny, rozbrzmiewający od pewnego czasu coraz silniej w jego feljetonach, szczególnie w tych traktujących o t. zw. przez niego „Najeździe na filozofję“. Ton ten jest conajmniej dziwny, gdyż nikt, jak dotąd, nie usiłuje zmniejszać zdobyczy i odkryć w dziedzinie nauk przyrodniczych. Ale p. Winawer, zamiast w rzeczowy sposób uprzystępniać laikom te zdobycze, „bije na alarm“ i usiłuje wmówić w naiwnego czytelnika, że niema już zagadek we wszechświecie, że fizyka i astronomja rozstrzygnęły już wszystkie zagadnienia dotyczące bytu, że fizycy i astronomowie pognębili filozofję i że poza fizyką i astronomją nie istnieje żadna inna nauka. (Do takich wniosków zmusza czytelnika ton i sposób wykładu zdolnego feljetonisty). Usiłuje przytem zasugestjonować czytelnika, że to, co jemu się zdaje, jest poglądem zasłużonych badaczy naukowych, których nazwiskami żongluje. Tymczasem po uważnem przeczytaniu któregokolwiek z jego artykułów, dochodzimy do przekonania, że więcej w tych alarmach typowej chucpy, niż rzetelnej popularyzacji.

Weźmy dla przykładu feljeton Winawera z 12 nr. Wiadomości Literackich, p. t. „Drugi sąd nad Sokratesem“. Czytamy tam między innemi:

„Fizyka już w pierwszem natarciu — przed ćwierćwieczem — obaliła słupy graniczne (filozofji — dop. mój) i zajęła tereny, okupowane od wieków przez gadatliwych nudziarzy“ — kilka wierszy dalej: „Sprawę rozstrzygnęli*) matematycy, badacze laboratoryjni, Michelson, Morley Minkowski, Eddington, nie Bergson“. Myślimy: Co za kategoryczne sądy! Może autor ma rację? Niechże teraz uzasadni ten swój sąd o stosunku fizyki i filozofji. Czytamy dalej:

„Dziś już nikogo nie dziwi obrazek...: fizyk Einstein i astronom de Sitter... **dyskutują** nad granicami wszechświata... Nikogo nie dziwi, że... Millington z Jeansem **spierają się** o to, czy świat powstaje jeszcze dzisiaj, czy też roztapia się w promieniowaniu... Fizycy **roztrząsają** dziś kwestję, czy prawo „przyczynowości“ ma dalej obowiązywać, czy atomy mają wolną wolę, czy przyszłość może być wyprowadzona z danej nam przeszłości!“

A więc jak ten atak Winawera na filozofję i twierdzenia o wszechmocy fizyki i astronomji rozumieć? Więc prawdziwi uczeni „**dyskutują, spierają się, roztrząsają**“, a tylko p. W. apodyktycznie twierdzi i hałasuje. Tylko ten reporter wyników ich pracy jest taki głośny, bo gdyby zabrał głos któryś z uczonych, sąd jego brzmiałby napewno znacznie skromniej. A teraz w jakiż to rzeczowy sposób informuje nas Winawer o pracach uczonych. W recenzji z „Mrówek“ Ewersa (nr. 13 W. L.) powiada: „...dziś Eddington, Jeans i Millikan przerzucają się kosmosami na zjeździe londyńskim“. Śliczna zabawa. Recenzja z „Mrówek“ jest charakterystyczna dla postawy Winawera. Wymyśla w niej na Ewersa za to, że „wpada w naiwny, bezkrytyczny antropomorfizm“, a sam przedtem usiłuje wmówić w czytelnika, że owady, a szczególnie mrówki, są mądrzejsze od człowieka, że można się od nich nauczyć „rozwiązania ważnych problematów życia zbiorowego“. Uszczypliwie powiada w tej recenzji: „Skrzydlata brać literacka urządzała głośne wyprawy na gwiazdy i maszerowała tłumnie po Drogach Mlecznych. Wyparli ich stamtąd uczeni...“, a w innem miejscu: „Jest mnóstwo takich badań (o owadach) w najnowszej literaturze naukowej i tu dopiero z drżeniem w sercu docieramy do „wielkiej zasłony“... Gdzie Rzym, gdzie Krym? Gdzie konsekwencja? Raz rozwiązanie wszystkich problemów (przez p. Winawera), a potem jakaś „wielka zasłona“.

O cóż więc ostatecznie chodzi? Chyba o ten krzyk i tupanie na filozofję? Określiłbym działalność Winawera jego własnemi słowami:

„**Gadanie** dla gadania, przypieranie słuchacza do muru, żonglowanie słowami... Można tem dziurę w brzuchu wywiercić, ale nie można odkryć promieni kosmicznych, fal elektrycznych, zjawisk spektralnych“.

Władysław Sebyła.

*) Podkreślenia moje.

Cytaty dla ignorantów

1). „Dawniej między fizyką a metafizyką istniała przepaść: dziś jesteśmy w fazie zamykania się tej przepaści. Metafizycy stali się może nieco mniej aroganccy, fizycy zaś zostali przez swe eksperymenty zmuszeni do stania się nieco metafizykami... Dziś fizycy, ludzie o najtęższych głowach, którzy bardziej niż ktokolwiek inny przyczynili się do tak charakterystycznego duchowego i mechanicznego triumfu naszej epoki, wprowadzili do swych metod technicznych tę samą naukę o bezsubstancjalności, którą niektórzy metafizycy już oddawna naprózno usiłowali głosić. „Jesteśmy z tej samej materji, co nasze sny“ — było kiedyś poetyckiem porównaniem; dziś teorja ta należy do naukowych podstaw fizyki“.

B. Russell.

2). „Prawa natury, które sprowadziliśmy do jednego schematu — a więc mechanika, grawitacja, elektrodynamika, optyka — mają początek nie w szczególnym mechaniźmie natury, lecz w naszym umyśle“.

Eddington.

3). „Powszechnem jest przeświadczenie, że nowe zdobycze astronomji i fizyki wywołują olbrzymi przewrót w poglądach naszych zarówno na wszechświat, jako całość, jak i na sens życia ludzkiego. Ostateczne rozstrzygnięcie problemu należy, oczywiście, przedewszystkiem do dziedziny filozofji“.

Jeans.

4). „Mechanizm wszechświatowy jest tylko zewnętrzną szatą, poza którą ukrywa się duchowa działalność i twórczość, podobna do tej, którą sami przeżywamy“.

Wundt.

5). „Der Plan ist in den Körpern, das Ideale im Realen, die Kraft im Stoff“.

Virchow.

6). „Istnieje, jeśli się nie mylę, cały świat, będący zespołem prawd matematycznych, do których mamy dostęp tylko za pomocą naszej inteligencji, istnieje tak samo jak świat rzeczywistości fizycznych. jeden i drugi są niezależne od nas, obydwa są tworem boskim i wydają się nam odrębnemi z racji niedołężnego naszego ducha, lecz dla myśli potężnej są jednem i tem samem“.

Hermite.

7). „Może zdawać się, że prawdy naukowej, której się dowodzi, z żadnego tytułu nie można zestawiać z prawdą moralną, którą się czuje. Przecież jednak nie mogę ich rozdzielić, a ci którzy kochają jedną, nie mogą nie kochać drugiej... Zestawiam obie te prawdy dlatego, że z jednej i tej samej racji kochamy je, lub się ich obawiamy“.

H. Poincaré.

Istotna wiedza

„Fizyka z punktu widzenia rzeczywistości, nie posiada znaczenia wyższego nad to, jakie przysługuje logice w dziedzinie prawdy... Prawa fizyczne nie ustalają nic, odnośnie do istotnej treści rzeczywistości... Rzeczywistość fizyczna sprowadza się do czystej i prostej formy“... „Sama cząstka materji nie jest punktem w polu rozciągłem, lecz jest to wogóle „coś nieprzestrzenne“. Siła, to potencja, która powoduje czasową zmianę impulsu“... „Wszystkie początki są ciemne. Właśnie matematykowi, który w swojej rozwiniętej nauce w sposób ścisły i formalny swemi pojęciami operuje, sprawia pewne zakłopotanie, jeżeli sobie uświadomi, że wszystkie początki wskazują na ciemne głębie, niedostępne dla jego własnych metod. Poza wszelką wiedzą poszczególną pozostaje jeszcze zadanie ogólnego pojmowania. Mimo odbierającego odwagę wahania się filozofji od systemu do systemu, nie możemy się tego wyrzec, jeżeli wiedza nasza nie ma się stać bezsensownym chaosem“.

Weyl.

Dwie odpowiedzi

Wilno

Ciura nad ciurami

P. W. Charkiewicz, sekretarz redakcji „Słowa", autor feljetonu „Hajże na Soplicowerów" — prezentuje nam się w glorji przyznanego mu powyżej pięknego przydomku, który zresztą sam sobie nadał, jak się to okaże poniżej. Stwierdza on bowiem melancholijnie w zakończeniu swego wesołego artykułu, że „w żadnym z walczących obozów (mowa o nas i o „Wiadomościach Lit.' — **przyp. mój)** nie widać zwartych wileńskich szeregów". „Czyżby — pisze dalej — w Wilnie w wygodnych okopach siedziały same ciury obozowe?"

Nie jesteśmy tak złego zdania o Wilnie i literatach wileńskich. Wierzymy w ich siłę moralną i zdrowy instynkt narodowy. Natomiast p. Charkiewicz, który sam występuje jako symboliczny reprezentant ciurów, bo obserwuje „z wygodnego okopu' i zbywa kpinkami rozpoczęty bój o wielkość i czystość polskiej kultury — kwalifikuje się sam jako „ciura nad ciurami".

A teraz sprostowanie: Ani „Gazeta Literacka", ani „Zet' nie powstały dla walki z „Wiadomościami Literackiemi" z tą gromadką „Soplicowerów', jak nazywa wcale dowcipnie p. Charkiewicz różnych Grydzewskich, Słonimskich etc. Byłoby to za wiele zaszczytu. „Głównym celem" tych pism jest rzeźbienie oblicza duchowego współczesnej Polski dłutem nowego, historjozoficznego stylu, a także wydobycie intelektu polskiego i sztuki polskiej z odmętu szkodliwych miazmatów, w jakich toną. Motywem naszego wystąpienia jest pozytywny program, który wbrew wszelkim sceptykom i cynikom—będziemy konsekwentnie realizować.

Ale nie należy się dziwić ślepocie p. Charkiewicza. „Takie widzi świata koło, jakie tępemi zakreśla oczy" — jak mówi Mickiewicz. Dlatego jego drętwa i osowiała myśl nie drgnęła nawet na zew idej, stanowiących kościec pojęciowy 1-go numeru „Zet', nie dostrzegła wagi i nagłości problemów, poruszonych przez nas, a postawionych światu całemu i Polsce przez rzeczywistość historyczną.

P. Charkiewicz zauważył tylko dwa momenty, wśród tylu innych składających się na treść ideologiczną „Zetu": 1) walkę z „Wiadomościami Lit.", choć zajmuje ona tylko pół szpalty na czterdzieści, 2) straszną dlań postać Hoene-Wrońskiego której nietylko się lęka, ale i nienawidzi.

To drugie budzi refleksję, jak bardzo aktualnym i współczesnym jest Wroński, skoro dziś, w tyle dziesiątków lat po jego śmierci, niektórym ludziom występuje piana na usta, gdy posłyszą jego nazwisko. P. Charkiewicz ma rację: analogja z Chrystusem nasuwa się sama przez się. Kto zżyma się na dźwięk imienia Arystotelesa, Cezara, czy św. Augustyna? Ale imię Chrystusa, dziś jeszcze, po dwu tysiącach lat, ścigane jest i bezczeszczone przez jednostki, organizacje i całe systemy społeczne.

P. Charkiewicz zdradza się ze swoją nienawiścią do Wrońskiego nietylko tem, że trzykrotne wymienienie jego nazwiska i zamieszczenie jednej cytaty z niego, na całej przestrzeni „Zetu' już go zdołało rozdrażnić tak, że czerwona mgła przesłoniła mu pozostałą część numeru: nietylko przez swój szyderczy ton i próbę zdyskredytowania Wrońskiego w opinji społeczeństwa polskiego. Konkretny dowód tej nienawiści miałem na odczycie, wygłoszonym przezemnie w wileńskim Związku Literatów (z którego zresztą mam jaknajpiękniejsze wspomnienia), gdzie właśnie p. Charkiewicz wystąpił z przygotowanemi zawczasu cytatami, mającemi zdyskredytować Wrońskiego w oczach wileńskiej elity umysłowej. Nie zrozumiał on — jak się zdaje — ani słowa z popularnego wykładu społeczno-politycznej części doktryny Wr., zato posiał kąkol rozdrażnienia szowinistycznego i nienawiści. Wysunął wówczas te same demagogiczne zarzuty, któremi widocznie w kółko szermuje: 1) stosunek Wrońskiego do cara rosyjskiego i 2) stosunek jego do Mickiewicza. Słuchacze pamiętają niewątpliwie, czy dostatecznie nieodparcie zbiłem te zarzuty. Ale p. Charkiewicz nie słyszał tego, bo gdy zacząłem mu odpowiadać — całkiem poprostu wyszedł ze sali.

Mimo tego nietaktu odpowiadam tedy raz jeszcze:

1) Hoene-Wroński przewidywał, że Europa zachodnia nie będzie już umiała stworzyć autorytetu umysłowego i politycznego, na którym mogłaby się oprzeć prawdziwa unja ludzkości. Szukał tedy autorytetu tego na Wschodzie, zwracając się do cara (podobnie zresztą, jak i Mickiewicz) i przemawiając mu do ambicji nawoływaniem do realizacji prawdy w życiu społecznem i politycznem. (Niezależnie od tego zwracał się również do papieża i do szeregu wybitnych osobistości). Rosji przypisywał arcyważną rolę, jako największemu mocarstwu wśród Słowian, powołanych do rozpoczęcia nowej ery dziejowej i jako największej sile materjalnej, która mogłaby dać oparcie polskiej ideji mesjanicznej. Kto zna „Les cent pages decisives" ten zrozumie, że Wroński miał na myśli nie ówczesnego cara, lecz przyszłego władcę odrodzonej Rosji, który odda ją niejako pod komendę polskiej myśli i polskiego ducha. Obawiał się jednak, że Rosja runie w odmęt rewolucji i misji swojej nie wypełni: wtedy trud ten podejmie i zrealizuje Polska, którą zwał „schroniskiem opatrznościowem ludzkości".

2) Stosunek jego do Mickiewicza zabarwiony był poczuciem strasznej krzywdy, jaką wyrządził jego doktrynie pseudo-mesjanizm Towiańskiego. Racjonalistyczny mesjanizm Wrońskiego, ugruntowany na matematycznych pewnikach i olbrzymiej wiedzy filozoficznej, został skompromitowany we Francji przez pojawienie się nieudolnego plagjatu, mistycznego „mesjanizmu' Towiańskiego, który opinja świata naukowego utożsamiała z doktryną Wrońskiego. Dzieło pracy całego życia, system prawd, które miały uratować ludzkość przed zbliżającą się zagładą — został unicestwiony. Skądże mógł wiedzieć Wroński-samotnik, że sam Mickiewicz był w tej sprawie nieszczęsną ofiarą, zwichniętą umysłowo i obezwładnioną twórczo przez Towiańskiego?

Jeżeli współczesna myśl filozoficzna Europy „nie liczy się z Wrońskim" — jak to konstatuje szyderczo p. Charkiewicz — to złożyły się na to przyczyny łatwe do zrozumienia; wyjaśnimy je w „Zecie'. Nie cała jednak myśl filozoficzna, jeśli idzie o ścisłość, mój panie! Oto opinja jednego z największych współczesnych myślicieli francuskich, Francis Warraina, wyjęta z dzieła jego „L'armature metaphysique d'apres la Loi de Creation de Hoene-Wroński":

„nie śmielibyśmy podjąć tej próby Wiązania metafizycznego, gdybyśmy nie znaleźli już drogi, głęboko wytorowanej przez filozofa nazbyt mało znanego, Hoene-Wrońskiego, który, wykreślając naturę stosunku podstawowego pomiędzy bytem i wiedzą, sprawił następnie dedukcję genetyczną kanonu wymaganego dla założenia naszego wiązania".

A we wstępie do księgi II-ej „Wiązania' p. t. „Rozwinięcia transcendentalne myśli" pisze tenże filozof:

„Zamierzamy tutaj wyłożyć i wytłumaczyć Kanon Filozoficzny Wrońskiego, nazwany również Prawem Stworzenia wszelkiego systematu rzeczywistości. Prawo to zdaje się nam ziszczać systemat ontologiczny najdoskonalszy, jaki kiedy odkryto". — Pisze dalej o tem Prawie, że powinno ono wystarczyć na kilkaset lat postępów ludzkiej wiedzy.

Ale cóż mówić ślepemu o kolorach. Umysł p. Charkiewicza nie znalazł się nigdy nietylko w sferze pojęć, jakie stanowią rdzeń doktryny Wrońskiego, lecz nawet w tej niższej sferze, którą otwarły przed myślą filozoficzną dociekania Arystotelesa lub Kartezjusza — nie mówiąc już o Kancie, tym słupie granicznym metody transcendentalnej.

Na zakończenie dodam jeszcze, że baczny obserwator kampanji prowadzonej w Polsce przeciw osobie i doktrynie Wrońskiego, ze zdziwieniem i politowaniem postawić musi pytanie, dlaczego, a raczej cui bono Polacy bronią się tak rozpaczliwie przed przypuszczeniem, że naród polski mógł wydać myśliciela równego genjuszom filozoficznym innych krajów; w tem niezrozumiałem wierzganiu przeciw opinjom zagranicznych nawet uczonych w tym względzie, tkwi jakiś paradoks. Czyżbyśmy naprawdę chcieli uchodzić za naród idjotów?

Widowisko to jest tak dziwaczne, że niewiadomo co w nim się kryje: tragifarsa, czy jakieś wielkie, zamaskowane łajdactwo?

Lwów

Poradnik dla nieuków

Dużoby było do powiedzenia na temat smutnego dokumentu chwili, który autor jego p. Tadeusz Zaderecki zatytułował: „Tor.. w okularach". Lepiej jednakowoż ograniczyć się do stwierdzenia, że publicysta pisma będącego organem stronnictwa narodowego, zielenieje ze strachu na myśl, że polska doktryna filozoficzna może być „prawdą naszych czasów" i że u polskich „romantyków" można szukać rozwiązania dręczących współczesną ludzkość problemów. Dzieła tego okresu, w którym myśl i sztuka polska wzbiła się na niedoścignione wyżyny, nazywa ten pseudo-narodowy pan — „starą śpiewką oklepaną do znudzenia' (dodajmy przytem, że dzieł tych nie zna i nie rozumie). Pytajnikami i wykrzyknikami oburzenia opatruje on twierdzenia nasze, że „Rosja europejsko-azjatycka zabrnęła w absurd gospodarczo-społeczny" i że Polska posiada „niezrealizowane dotąd koncepcje historyczne i idee, które dawniej przedwczesne, stają się aktualne w dobie obecnej".

Biedne, wczorajsze mózgi, zaczadzone niewolą duchową i polityczną, uchylające się tchórzliwie przed postulatem wielkości, niezdolne do dźwignięcia na swoich barkach brzemienia odpowiedzialności historycznej.

Ale p. Zaderecki nie jest tak bardzo winien. W artykule jego niema tego jadu i tej złej woli, co w słowach p. Charkiewicza. Jest tylko napuszony, niewtórczy sceptycyzm, wszczepiony umysłem polskim przez przedwojenny pozytywizm. Jest też brak pojemności na wysokie problematy rozumu i brak wykształcenia filozoficznego — niestety tak powszechny dziś w Polsce (nietylko dziś zresztą!)

Dlaczego sądzę, że p. Zaderecki da się jeszcze wyratować i wyprowadzić ze smutnego kręgu chochołowego tańca na światło dzienne. Trzeba tylko by nabrał on nieco skromniejszego mniemania o swej wiedzy i zrezygnował z autorytatywnego wygłaszania opinji o sprawach, na których się zupełnie nic rozumie.

Aby ułatwić mu przejście do rzetelnej, pozytywnej pracy nad sobą, zmuszeni jesteśmy przedewszystkiem wyjaśnić mu, jako rzecz dlań podstawową, różnicę pomiędzy pojęciem „metafizyki' a pojęciem „mistyki", gdyż jak to się często zdarza laikom, miesza on je wciąż ze sobą bardzo naiwnie.

Otóż są to pojęcia wykluczające się wzajemnie, przeciwstawne. Mistyka — jest to pozarozumowe szukanie istoty rzeczywistości; naczelną jej cechą jest kontemplacja, a rezultatem rozrost niekontrolowanej wyobraźni i biernego, receptywnego stosunku do t. zw. przez nią „sił wyższych". Dlatego mistycyzm paraliżuje w ludziach samorzutność rozumu, po czem łatwo go odróżnić od wszelkiej dyscypliny naukowej. Natomiast metafizyka — to czysto rozumowe dociekanie istoty rzeczywistości: fundamentem tej filozoficznej dyscypliny jest t. zw. metoda krytyczna, poszukiwana przez Hume'a, a po raz pierwszy zastosowana przez Kanta. Zadaniem tej metody było — podług słów Kanta — „określić zupełnie i według zasad ogólnych cały zakres czystego rozumu zarówno co do jego granic jak i treści — a to było właśnie tem, czego potrzeba metafizyce, by mogła wznieść swój system według bezpiecznego planu".

I pisze dalej Kant o prawdziwem poznaniu metafizycznem, co następuje: „A więc podstawą tego poznania nie będzie ani doświadczenie zewnętrzne, które stanowi źródło właściwej fizyki, ani wewnętrzne, które stanowi podstawę psychologji empirycznej. Jest więc ono poznaniem a priori, czyli poznaniem z czystego **rozsądku** i czystego rozumu.

Radzimy p. Zadereckiemu, najłagodniej i najżyczliwiej, aby przemyślał (nietylko przeczytał) to ostatnie zdanie. Radzimy mu też, by — zrobiwszy uprzednio małą powtórkę z historji filozofji — przestudjował dokładnie narazie Kanta „Prolegomena do wszelkiej przyszłej metafizyki', aby mógł na przyszłość uniknąć podobnie rażących błędów.

*

Na zakończenie zwracam się do obu niewczesnych krytyków z apelem, aby nie mieli mi za złe słów nazbyt ostrych. „Nie ja biję — rózga bije'. To nie ja rozprawiam się z nimi — czyni to czysta, rzetelna i bezstronna dyscyplina filozoficzna. Nie chciałbym by ślepy gniew i obraza osobista — zamknęły im drogę nawrotu do prawd, bezcennych nietylko dla całej ludzkości, ale i dla każdego poszczególnego indywiduum.

Albo nawet: niech gniewają się na mnie, ale niech się uczą, uczą i jeszcze raz uczą.

J. Braun.

Życie teatru

„Sprawa Moniki" M. Szczepkowskiej (teatr: **Reduta)**; — **„Widowisko rybałtowskie'**, (teatr im. St. Żeromskiego na Żoliborzu); — **„Car Lenin"** Franc. Porché (teatr: **Ateneum)**.

Walka o teatr artystyczny, nie poprzestający na zaskrzepłej rutynie i wypróbowanych, wyświechtanych chwytach — toczy się zarówno na platformie sceny, jak i samej sztuki dramatycznej. Bywa przecież, że teatr daje nam utwór wysoce interesujący w niewłaściwej oprawie, zacierającej szereg godnych podkreślenia i wyzyskania momentów. Bywa i przeciwnie: utwór przeciętny, tuzinkowy potrafi zalśnić niezasłużonemi blaskami. Najsilniejszą przynętą obecnego teatru jest obsada sztuki. I niewątpliwie, wielki aktor przyciąga, hipnotyzuje, urzeka tłumy.

Słusznie zauważył niedawno K. H. Rostworowski, że w większości wypadków idziemy do teatru nie na tę czy inną sztukę, lecz na aktora (czy aktorkę), który jest atrakcją wieczoru. Ale, żeby do tego ograniczać teatr? — Przesada! Niebezpieczna przesada, bo ludzie gotowi uwierzyć, że naprawdę po to przychodzi się do teatru, żeby zobaczyć parę popularnych „gwiazd", żeby posłyszeć ze sceny nieco dobrych kawałów wplecionych do żywej, przyjemnej akcji.

Nie jesteśmy bynajmniej doktrynerami jakiejś abstrakcyjnej estetyki, nie liczącej się z psychologją widza lub czytelnika, z jego zainteresowaniem dla wypadków i problemów życiowych (na scenie). Jeśli rzecz jest zrobiona inteligentnie, czysto, jak np. „Sprawa Moniki" (a raczej jej dwa ostatnie akty) — możemy szczerze przyklasnąć widowisku.

Jest to sztuka „z tezą". Występują w niej tylko trzy kobiety; mężczyzna zaznacza swą obecność jedynie przez telefon, lecz właśnie dookoła niego obraca się cała „sprawa'. Monika i jej przyjaciółka... są kobietami pracy, mającemi fach w ręku. Wszakże, gdy dla Moniki tragedja miłosna załamuje ją psychicznie i moralnie... potrafi opanować serce, uratować swe życie od klęski; praca (zawód architekta) pochłania ją i pasjonuje. Ślepem narzędziem dramatu jest służąca, która okazuje się kochanką ukochanego męża Moniki. Po straszliwem załamaniu psychicznem Monika dowiaduje się, że jej przyjaciółka ongiś także kochała Jerzego, lecz usunęła się z drogi, widząc, że nie warto wypełniać życia wyłącznie tą sprawą... Monika postanawia być „mocna'... Jak widzimy jest tu ze strony autorki pewne uproszczenie sprawy. Trochę nieprawdopodobna wydaje się nieświadomość Moniki co do postępowania męża, z którym przecież żyła tak blisko. Wątpliwości te budzą się mimowoli, ponieważ sztuka jest ujęta naturalistycznie: „życiowe' pretensje są uzasadnione. Przecież talent autorki, siła ekspresji utworu sprawia, że pochłania nas samo zagadnienie, samo postawienie kwestji i jego oświetlenie w toku „sprawy". Akt I zapowiada raczej rozplotkowaną po kobiecemu, zgubioną w szczegółach histerją. Dwa dalsze akty miło rozczarowują, tworząc zwartą, przejrzystą całość.

W inscenizacji położono nacisk na dramat wewnętrzny, na subtelne wycieniowanie przeżyć. Możnaby się kłócić, czy w sztuce nawskroś ideologicznej, wyraźnie dyskusyjnej, mającej uzmysłowić nam pewien problem obyczajowo - społeczny — ta właśnie metoda jest odpowiednia. Przyjąwszy jednak intencję realizatorów możemy tylko pochwalić wykonawczynie, a zwłaszcza p. Małynicz, która z roli rezonerskiej wydobyła maksimum ekspresji.

W teatrze im. Żeromskiego na Żoliborzu wystawiono „Widowisko rybałtowskie", złożone z trzech utworów z wieku XVII, należących do popularnego podówczas typu satyryczno - alegorycznego. Wiek XVI i XVII przyniósł szereg widowisk w rodzaju „Rozprawy o mięsopuście" (XVI w.), albo „Satyra polskiego na twarz Rzeczypospolitej' (XVII w.), poruszających w formie lekkiej, żartobliwej, nieraz rubasznej różne aktualne sprawy. Krytykuje się w nich i utyskuje „na ciężary i opresję chłopską', na podatki, rozpanoszenie i swawolę wojsk zaciężnych, chciwość egoizm bogaczów, próżniactwo, lenistwo hołyszów itp. Widowiska rybałtowskie odgrywały rolę dzisiejszych „feljetonów, satyryczno - ironicznych wycieczek publicystycznych. „Dziewosłąb dworski, gwoli zabawom uczciwym przez Maćka Pochlebcę R. P. 1620 **napisany**" i **„Komedja rybałtowska nowa"** (z r. 1615) zawierają sporo takich społecznych akcentów, natomiast „Mięsopust albo Tragicomedia na dni mięsopustne dla stanów rozmaitych zabawy podana R. P. 1622" jest krotochwilą na temat pijaństwa, w której zbiera laury jako opój p. Kijowski.

Wystawiono rzecz, idąc za wskazówkami L. Schillera, specjalisty od tego rodzaju widowisk w stylu prymitywu. Sprzyjają temu wybitnie kostjumy W. Daszewskiego, oraz „śpiewy i sinfonje" K. Palestra, jak również właściwa teatrowi im. Żeromskiego inscenizacja (bez rekwizytów dekoracyjnych, bez wyodrębnionej sceny). Utrzymano całość w tonie naiwnego, szopkowego spektaklu, w rodzaju obrzędu czy obchodu tradycyjnego. Jest to ciekawy eksperyment rekonstrukcyjny. Widowisko dla smakoszów, „bibljofilskie wydanie".

Autor „Cara Lenina', Franciszek Porché dotychczas miał opinję „podrzędnego Rostanda", pisał ozdobnym, afektowanym stylem (poezje i dramaty wierszem). Obecnie wystawiono w Paryżu jego najnowszy utwór pt. „Błądząca rasa", w którym autor zajmuje się problemem żydowskim. „Car Lenin", grany w swoim czasie z powodzeniem w Paryżu (temat jest niewątpliwie atrakcyjny) zawiera skrót doniosłych wydarzeń dziejowych. Porché ukazuje Lenina w czterech fazach: działalności na emigracji w Paryżu, podczas wielkiej wojny w Szwajcarji, podczas rewolucji bolszewickiej i wreszcie — zmożonego chorobą.

Autor przestudjował, jak się zdaje, materjały dotyczące życia Lenina i stosunki rosyjskie w tym okresie. Zresztą Porché zna Rosję z autopsji. Nie brak w jego sztuce elementów publicystycznych. Nieraz wplata on do dialogów autentyczne cytaty z pism Lenina. Wszakże nie jest to modny dziś reportaż sceniczny. Wydarzenia życiowe są tylko pretekstem, niejako podmurówką pod postać Lenina i obraz rewolucji. Lenin ukazuje nam się jako człowiek zacięty, surowy, uporczywie dążący do celu. Nie obchodzi go szczęście jednostek, — jedynie masa, tłum przedstawia wartość konkretną.

Akcja sztuki toczy się na płaszczyźnie irrealizmu. Jest zwięzła, niekiedy wprost pobieżnie przelatuje od zagadnienia do zagadnienia. Ale trudno było postąpić inaczej, chcąc dać całokształt, rodzaj filmu, związanego z historją Rosji i Leninem. Autor wprowadza na scenę od czasu do czasu rodzaj chóru, szereg symbolicznych postaci, reprezentujących społeczeństwo rosyjskie. Przytem przechodzi swobodnie np. od realistycznego obrazka z życia domowego Lenina do fantastyki. Przeplata i krzyżuje (zwłaszcza w części II) różne nurty akcji, operując przeważnie krótkiemi a charakterystycznemi epizodami. Nie rozwija szczegółów. Potrąca o moc zagadnień, zostawiając je wpół drogi, gdyż interesuje go przedewszystkiem postać samego Lenina. Przykładem takiego błyskawicznego pośpiechu może być obraz przełomów w Rosji od r. 1917 (w akcie II). Znamienny rys psychologiczny zawiera scena podczas zwycięskich postępów rewolucji w Petersburgu, kiedy to Trocki i Lenin zapowiadają tłumowi dalszą walkę. Żołnierze bolszewiccy mają się okopać, zaciągnąć druty od strony wojsk białych. — „Więc znowu zacznie się to samo"!? — woła z rozpaczą w głosie jeden z żołnierzy. Lenin — nie liczy się z niezadowolonemi grupami a tembardziej jednostkami. Rewolucja to nie jest romantyczny gest, to jest zadanie matematyczne — powiada. Dlatego musi być teror, muszą być ofiary. Naprożno idealista Markow przypomina mu wspólne, młodzieńcze marzenia o wolności, o uszczęśliwieniu wszystkich. Nic z tego. Taka wolność nie zdołałaby się utrzymać na wzburzonej powierzchni życia... Więc znowu rozpoczyna się zacięty, nieubłagany taniec o władzę. Jeszcze Lenin jest dyktatorem, a już stalinowcy zdołali przeciągnąć na swą stronę „czekę".

„Car Lenin" kończy swój żywot sparaliżowany, nie mogąc nawet podczas „ćwiczeń wymowy" powtórzyć za dyktandem żony: „Niech żyje rewolucja'... — „Rewolucja" to już za trudne słowo dla chorego. Z ust umierającego Lenina pada inne słowo: imię brata Saszy, powieszonego niegdyś przez carskie władze.

Zmontowanie takiego widowiska nie było rzeczą łatwą. — Powiązać rozpierzchłe sceny; skoncentrować rwącą się akcję; przeładowaną publicystycznemi tyradami, uczynić zrozumiałemi symboliczne zjawy — oto trudności, które miał do pokonania teatr. Jakoż, dzięki świetnemu talentowi Jaracza (Lenina) i inteligentnej reżyserji Iwo Galla (wraz z St. Daniłowiczem) otrzymaliśmy spektakl nieprzeciętny. Cały zespół zasługuje na uznanie; wymienić tu jeszcze trzeba W. Malinowskiego (Martow), St. Daniłowicza (Dzierżyński), Z. Turowskiego (żołnierz). Trochę kłopotu przysparzają osoby symboliczne: mówią niekiedy w cieniu, tak, iż niezawsze wiemy, która z nich przemawia. W każdym razie na uznanie zasługuje teatr „Ateneum", jako placówka rzetelnych wysiłków artystycznych (stronę plastyczną omówimy w 3-im numerze).

Jarosław Janowski.

Kronika

Bogdana Karpackiego tom poezji pt.: „Marsz po próchnie' ukazał się na półkach księgarskich: w najbliższym czasie ukażą się dwa następne tomy: „Ludzie w hełmach" i „Na oczach trybun'.

Jerzego Zawieyskiego powieść pt.: „Gdzie jesteś przyjacielu?!" (nakł. F. Hoesicka str. 332) omówimy w następnym numerze „Zetu'.

Sąd konkursowy Nagrody Literackiej

Termin posiedzenia sądu konkursowego dla przyznania w rb. nagrody literackiej m. stoł. Warszawy w wysokości 10.000 zł. wyznaczony jest na dzień 11 kwietnia. W skład jury wchodzą pp.: St. Wilczyński, Z. Słomiński, Iza Moszczeńska, Juljusz Kaden-Bandrowski, Ignacy Baliński, prof. J. Ujejski, Kleszczyński, Rzymowski, dr. Zawistowski, St. Miłaszewski i J. Hertz.

Adrjan Zagórna przygotowuje obszerniejszą pracę zawierającą szereg krytycznych rozważań na tle polskiej produkcji filmowej pt. „Białe cienie z dzikich pól".

„Cień Parakleta", powieść Jerzego Brauna (Część I-sza p. t. „Wiktor') ukazała się nakładem F. Hoesicka, Warszawa, 1932, str. 290.

Gazety Literackiej nr. 7 poświęcony w całości K. H. Roztworowskiemu zawiera artykuły: K. Czachowskiego, T. Kudlińskiego, K. H. Roztworowskiego, J. Gałuszki, M. Rusinka, wiersz A. Gałuszki i fragment z dramatu K. H. Roztworowskiego p. t. „Czerwony Marsz" (red. Kraków Słoneczna 15, m. 9).

REDAKCJA: Warszawa—Jerzy Braun, Inżynierska 7 m. 30 tel. 10-20-58. Kraków—Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9. Lwów Tymon Terlecki, Marka 12, tel. 27
ADMINISTRACJA: Warszawa: Inżynierska 7 m. 30. tel. 10-20-58
Kraków: Feliks Setkowicz Słoneczna 15 m. 9
Lwów: Józef Radzimiński Strzała 8 tel. 40-35
Konto P. K. O.: 153.210
Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł.

„Start"

Stowarzyszenie miłośników filmu artystycznego „Start" urządziło zamknięty pokaz dwóch filmów-studjum abstrakcyjnego Oskara Fischingera na tle muzyki Brahmsa i retrospektyw: „Gabinet Dr. Caligari' Wiene'go.

Fischinger, w transponowaniu akustycznych zjawisk na odczucie wzrokowe jest niewymyślny, szczery i przez to zrozumiały. Każdy zapewne tak samo wyobraziłby sobie forte w postaci wypiętrzających się punktów i allegro jako rozpływające się kreski.

Naturalnie; nie na tem miłem przeżyciu znanej melodji Brahmsa polega wartość pokazu, ale na wnioskach wypływających zeń, co jest istotą filmu i jakie będą jego przyszłe drogi. Suprematyzm ekranu może być jednym z czynników filmu, ale nigdy jego właściwą istotą.

Kalejdoskop świateł i form dobry na krótką metę, przy dłuższym metrażu stałby się ilustracją muzyki, nowoczesnem librettem operowem, lecz nigdy nie byłby w stanie zastąpić i wyrugować dotychczasowych zdobyczy filmu. Nie mniej, jako ciekawy i mało znany w Polsce eksperyment może nasunąć niejedną myśl płodną w skutki.

Dźwigający ciężar dziesięciu lat „Gabinet Dr. Caligari" Wiene'go unaocznia rozwój filmowej techniki uwydatniając zarazem wszystkie wartości prawdziwie artystycznego obrazu, których ząb czasu nie jest w stanie rozkruszyć. Odrzuciwszy szereg zewnętrznych momentów, pozostanie sam pomysł fascynujący do dzisiaj; a zatem — literatura. Jak za dziesięć lat będzie wyglądać współczesny film montażowy polegający w lwiej części na zewnętrznych, coraz to bardziej doskonalących się zdobyczach filmowej techniki?

Stowarzyszeniu „Start' za jego prawdziwie kulturalną pracę należą się słowa uznania i życzenia jaknajwiększego rozwoju.

A. Z.

Sprostowanie. W 1-szym numerze „Zetu" podpis pod artykułem „O cel widowiska scenicznego" winien brzmieć: **Władysław Dobrowolski**, a nie — jak to omyłkowo wydrukowano — **Tadeusz Dobrowolski.**

Druk. „Nowogrodzka" Warszawa, Tarczyńska 4. Tel. 680-20